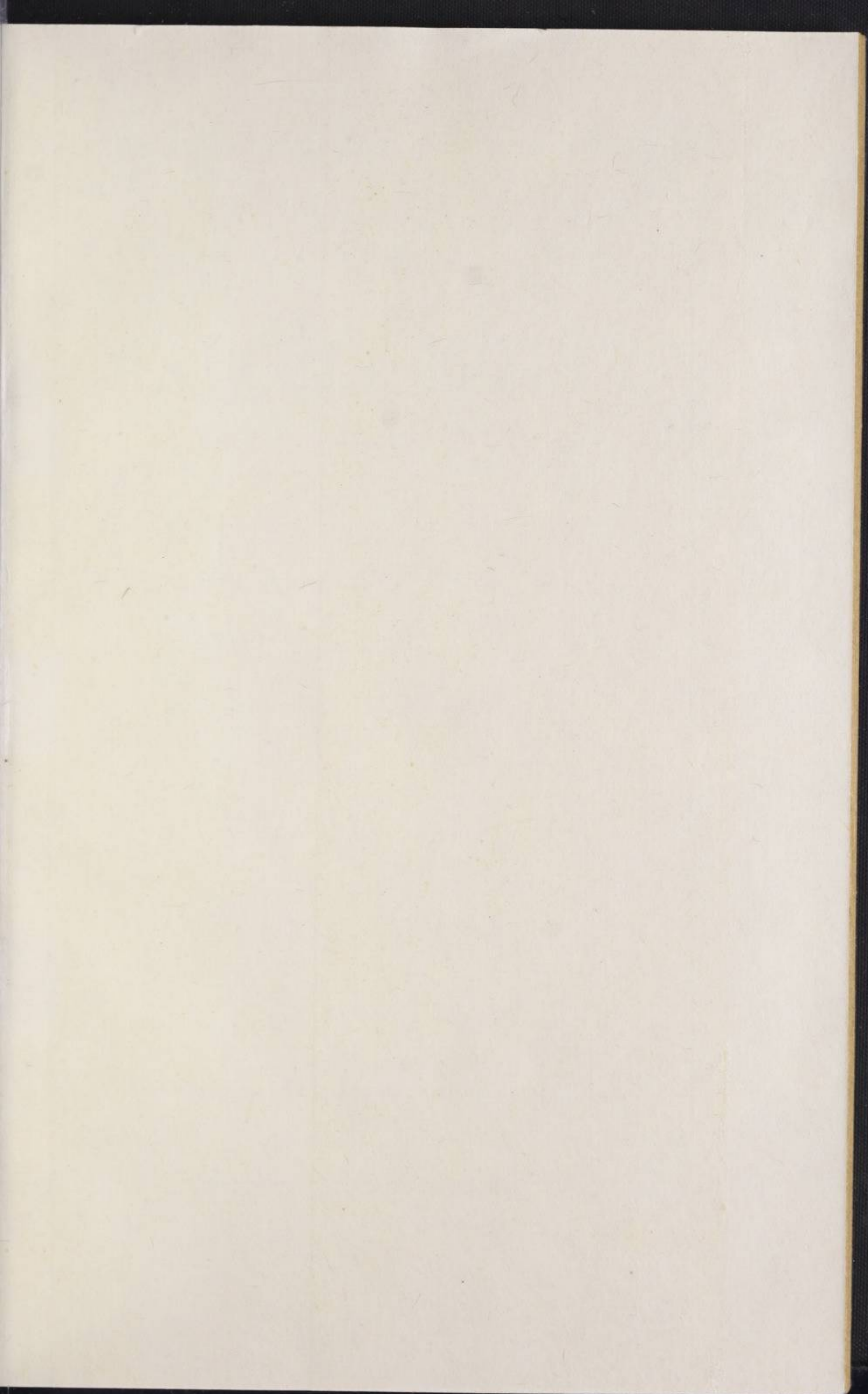
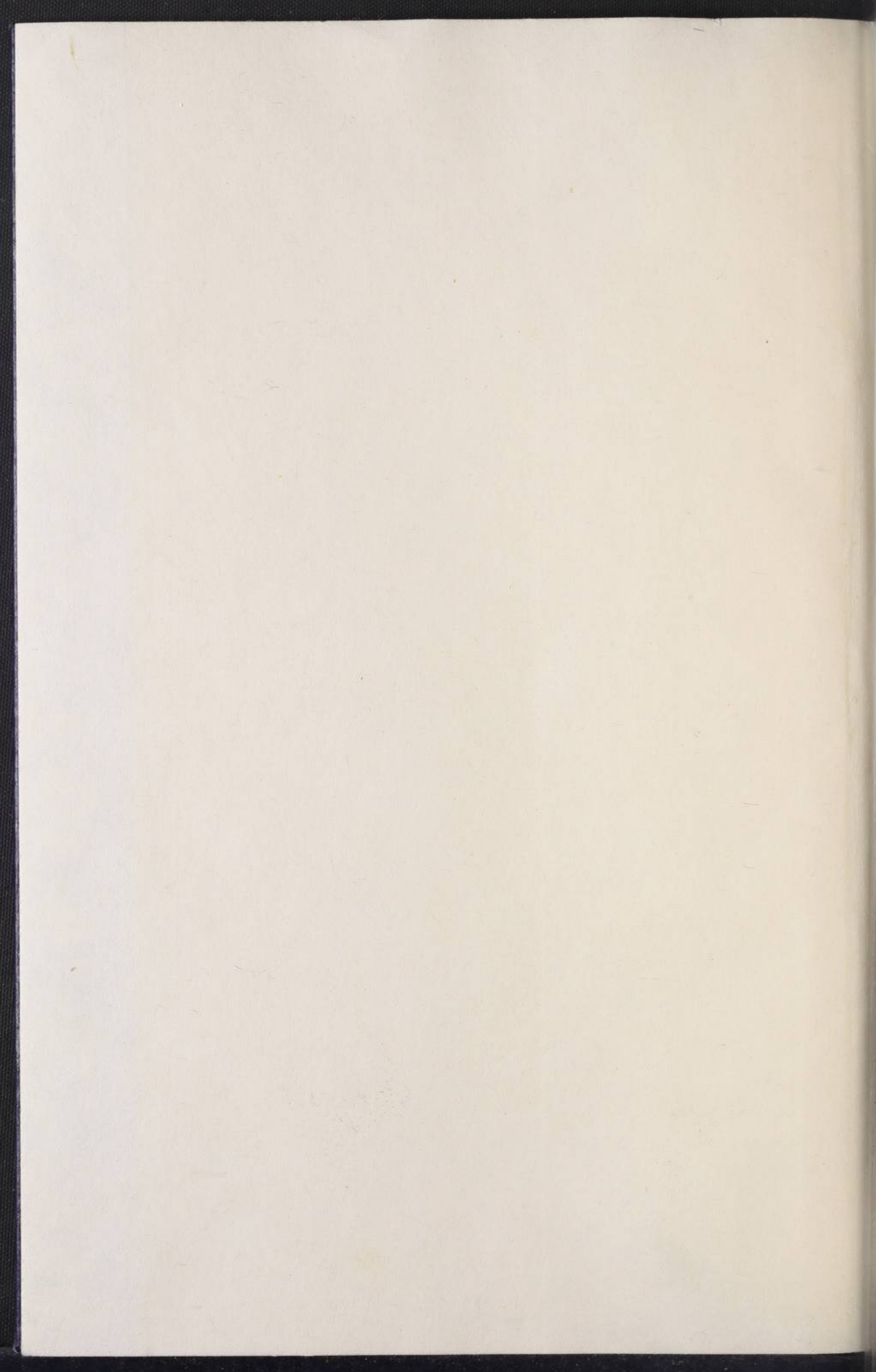


187608





187.608

Ś. P.

MARCELI MOTTY.

—••••—
NAPISAŁ

A. DANYSZ.

—••••—

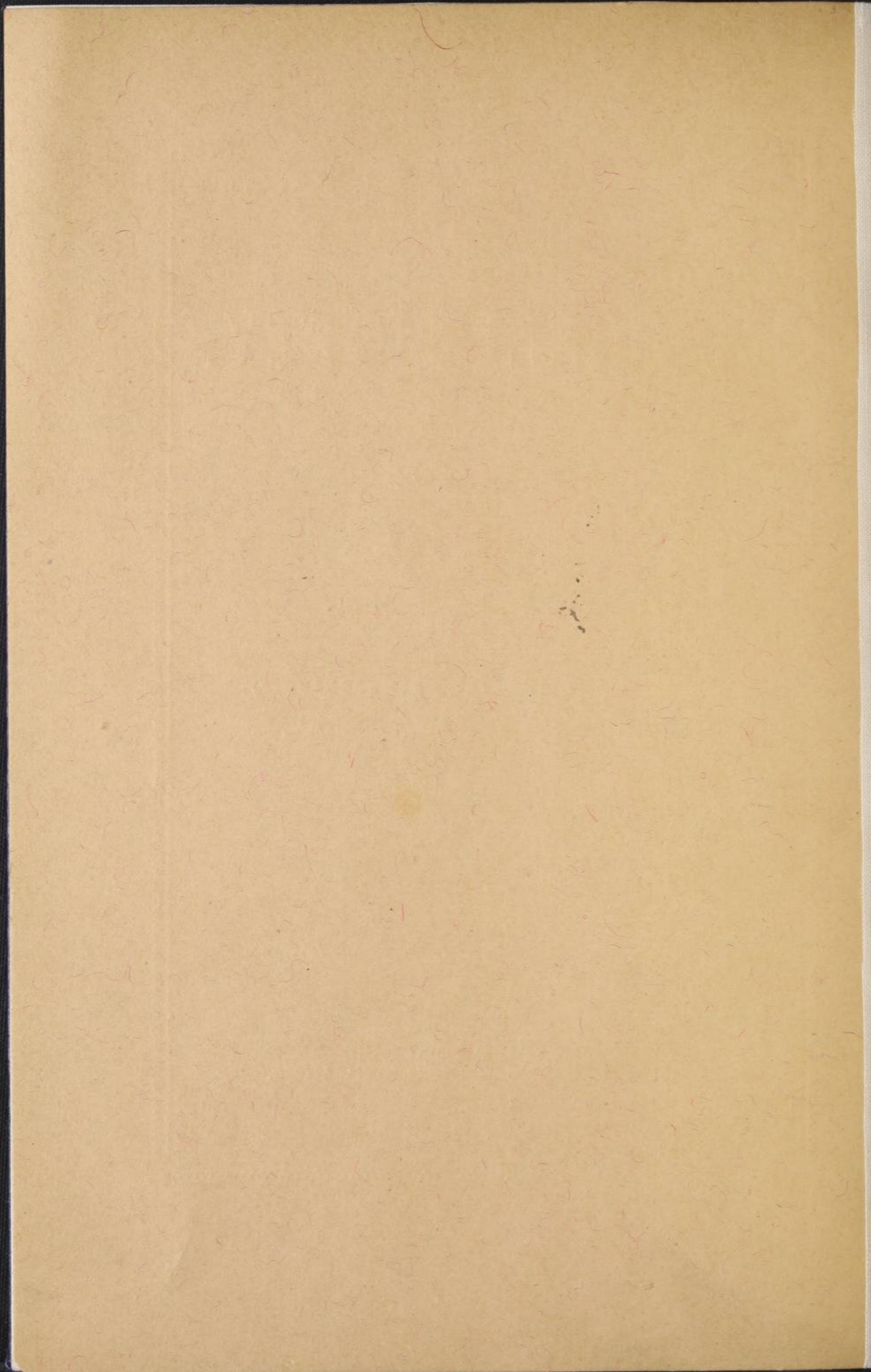
(ODBITKA Z „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO“.)



POZNAŃ.

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

1898.



Ś. P.

MARCELI MOTTY.

NAPISAŁ

A. DANYSZ.

(ODBITKA Z „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO“.)



POZNAŃ.

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

1898.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009999235



—
II 809.78V II
—

1947 K. 185 / 13051

Zabieramy się do skreślenia życiorysu człowieka, na którego społeczeństwo wielkopolskie spoglądało przez pół wieku ze czcią i uwielbieniem. Uczucie to było tem głębsze i rzetelniejsze, że się tyczyło wewnętrznej istoty Marcelego Mottego, a nie zewnętrznych danych, które częstokroć wartość człowieka podnoszą. Społeczeństwo wielkopolskie uznawało w zmarłym jego moralną wartość, czciło jego szlachetny i podniosły charakter. Wyższość jego charakteru była tak wybitną, że przykuwała niejako i zmuszała do uznania. Rzadka w człowieku zgoda szlachetnej woli i wyższej inteligencji robiła z Marcelego Mottego na wskroś wyższą osobistość, która nakazywała poszanowanie i stawała się dla innych powagą, chociaż on sam najmniej na nią się wysiłał. Każdy, kto go znał, czuł, że nic nieszlachetnego, że nic mniej szlachetnego nie ma przystępu do jego podniosłego umysłu.

Warunki, wśród których obecnie żyjemy, są tak trudne i przerozważane, że nawet dobre charaktery nie wahają się nieraz dla pewnych korzyści zawierać kompromisu z tem, co jest mniej dobrem. Ale takich niewinnych choćby układów z sumieniem nie znał Marcelli Motty. Co raz napiętnował (ulubionem swoim drastycznym wyrażeniem) jako nie dobre, od tego odwracał się ze wstrętem. Ciągłe zaś przestrzeganie bezwzględnej prawości, szlachetności i przyzwoitości wyrobiło w nim arystokrację umysłową, którą natychmiast każdy odczuwał — nawet po krótkim z nim obcowaniu. W tem leżała tajemnica jego towarzyskiej powagi. Ten katonizm etyczny, nie dopuszczający kompromisów,

imponował i powodował jego moralną wyższość nad przeciętnymi ludźmi.

Ale zróbmy krótką analizę charakteru męża, którego życie mamy rozpamiętywać. Marceli Motty urzeczywistniał w sobie idee etyczne, od których urzeczywistnienia zależy moralny charakter człowieka.

Zdołał on wyrobić w sobie to, co w dzisiejszych stosunkach najwięcej może sprawia trudności t. j. doszedł do wewnętrznej wolności, do zgody ze sobą samym. Umysł ludzki na ciągle jest wystawiony zaburzenia, które go szarpia na wszystkie strony i mącą jego spokój. Ileż trudności sprawiają człowiekowi jego własne ja, jego własne pożądanja. Mogą one stać się dla niego niewyczerpanem źródłem goryczy, ponieważ nawet przy najkorzystniejszych warunkach nie może ich zaspokoić wszystkich, a siła ich wzrasta, im mniej się może zdobyć na energja zwalczania ich w zarodku.

A choćby nawet człowiek samego siebie opanował, bliższe i dalsze otoczenie, w którym mu żyć wypadło, staje się dla niego powodem wewnętrznego niepokoju i rozsterki umysłowej. Te wszystkie walki przechodził także Marceli Motty, a były one może u niego tem cięższe, na im wyższy diapazon umysł jego był nastrojony. Lecz z walk tych wyszedł z wyrobionym spokojem wewnętrznym, z równowagą umysłową, do jakiej rzadko człowiekowi udaje się dochodzić. Ztąd to jego wewnętrzne zadowolenie, ztąd ta swoboda jego umysłu. Na mocy swych niepospolitych zdolności i wielkiej bystrości rozumu, przy korzystniejszych okolicznościach byłby mógł zająć zupełnie inne stanowisko w hierarchii społecznej. Co dla niejednego człowieka staje się źródłem goryczy, zatruwającą mu życie, to nawet chmurki niezadowolenia nie wywoływało na pogodnem życiu Marcelego Mottego. Przestając na swoim, odrzucał nawet ofiarowane mu zaszczytniejsze stanowiska. Wewnętrzna wolność tak dalece zrosła się z jego jestestwem, że przeszła nawet później w naiwną prawie prostotę. Nic nie potrzebować jest boskiem, a jak najmniej, najbliższem boskiego, mawiał mędrzec grecki i tę zasadę nie słowem lecz czynem wyznawał Marceli

Motty. Im szybciej w ostatnich dziesiątkach lat życie, jak w całym świecie, tak też i w Wielkopolsce przybrało wykwintniejsze formy, tem więcej odbijała jego diogenesowska prawie prostota, będąca wpływem jego równowagi umysłowej.

Nie mniej urzeczywistniał Marceli Motty idee życzliwości. Ponieważ człowiek żyje w otoczeniu innych ludzi, musi w szlachetny sposób unormować swój stosunek do nich. Jest to zaś wtedy tylko możliwem, jeżeli obcowanie jego z ludźmi opiera się na życzliwości. Wewnętrzna życzliwość przebijała się w każdym czynie, w każdym nieomal ruchu Marcelego Mottego. Sam nie wymagając niczego od ludzi, dawał im bardzo wiele, występując wobec nich z grzecznością, uprzejmością, przychylnością. A nie była to uprzejmość i życzliwość zewnętrzna, zdawkowa, po za którą kryje się nieraz obojętność, a nawet może niechęć. Przychylność jego była prawdziwa, rzetelna, bo się opierała na jego charakterze, bo była zrosłą z jego osobistością. Ztąd pogoda i spokój, które Marceli Motty naokół roztaczał. Umysł jego na wskroś życzliwy nie znosił ciasnoty serca. Nikomu nie zdarzyło się widzieć go gniewającym się, nikt nie usłyszał szorstkiego albo cierpkiego słowa z jego ust. Uprzejmość jego była zawsze równą dla każdego, bez różnicy osób i okoliczności. Taka bezwzględna równowaga w postępowaniu z ludźmi jest tylko możliwą przy wyższym umyśle. *Sic se gerendo minime est mirandum, si et vita eius fuit secura et mors acerba.* Jeżeli wolność wewnętrzna budziła dlań szacunek, to życzliwość, jaką promieniało jego życie, jednała mu przychylność i miłość ludzką. Marcelego Mottego kochano ogólnie, bo, przy całej przewrotności natury ludzkiej, trudno ludziom na życzliwość odpowiadać nieżyczliwością, albo obojętnością. *Multis ille flebilis occidit,* bo każdy czuł, że społeczeństwo straciło w nim szczerego przyjaciela.

A wreszcie jeżeli do dopełnienia moralnego charakteru potrzeba urzeczywistnienia idei społecznej, potrzeba działania dla dobra tego społeczeństwa, wśród którego się żyje, któż wierniej spełniał wzięte na siebie

dobrowolnie obowiązki, jak Marceli Motty? Jak wiadomo, wybrał sobie zawód nauczycielski. Dziwny to zaprawdę zawód! Z t. n. uczonych zawodów niema może stanowiska, w któremby między nakładem wiedzy i nauki, a korzyścią materyalną, między nastrojem tejże wiedzy, potrzebnej do wykonywania zawodu, a zajęciem samem, był tak ogromny przedział, jak w stanie profesorskim. Garnie się zwykle do niego młodzież najlepsza, w której wyobrażenia naukowe, zyskane przez naukę szkolną, tak silnie się skupiły w umyśle, że wytworzyły dążność dalszej pracy w obrębie tych samych wyobrażeń. Obcowanie kilkoletnie w idealnem kole, stworzonym przez naukę szkolną, przykuwa ją do idealizmu — słowem są to po większej części idealisci. Ale idealizm kończy się często z chwilą złożenia egzaminu, z chwilą wstąpienia do urzędu. Młody pedagog, kształcony na uczonego, musi się rzec po części swego uczonego stanowiska, musi się nagiąć do nowój, ciężkiej i do tego nie bardzo w społeczeństwie szanowanój pracy. Praca nad zbiorowem wychowaniem niedorośliwych wymaga nowego dostrojenia umysłu, wyrobienia niejako nowego usposobienia, nowego nakładu idealizmu, wymaga nieraz wewnętrznych ofiar. Ażeby działać na młodzież, trzeba mieć powagę, a tę trzeba prawie zawsze z zaparciem się bezpośredniości w sobie wyrobić.

Piszący nieraz słyszał z ust Marcelego Mottego, ile trudności sprawiało mu wyrobienie w sobie powagi zawodowój. Przyznawał się, że, będąc za młodu wesołego usposobienia, na widok swawolących chłopców musiał się zrazu wstrzymywać, aby z nimi razem nie poswawolić. Jak Marceli Motty spełniał swe społeczne zadanie, o tem poświadczyć mogą tysiące ludzi, którzy za młodu przeszli przez jego ręce. Można śmiało powiedzieć, że w wykonywaniu swego zawodu był dla siebie tyranem, że zwłaszcza w późniejszym wieku robił więcej, aniżeli mógł, aniżeli siły jego mogły wytrzymać. Nie skutkowały u niego namowy i prośby najbliższego otoczenia, aby sobie pofolgował. Marceli Motty nie znał wczasu, nie rozumiał, co to jest oszczędzać się. Kiedy przed kilku laty dla sędziwego wieku pożegnał się ze szkołą realną, w której tak długo pra-

cował, prawie do końca życia udzielał lekcyi w szkole żeńskiej, której długoletnim był dyrektorem. *Nunquam minus otiosus, quam cum otiosus erat.* Rozczulającym było widzieć tego starca, jak krótko przed śmiercią (dla bólu w krzyżach) na kolanach pisał tłumaczenie autorów klasycznych. Tak wyglądało jego otium!

Marceli Motty urodził się w Poznaniu 5 czerwca 1818 r. z ojca Jana i matki Apolonii z Herwigów. Rodzina Mottów pochodzi z Francyi. Jeden z Mottów był oficerem w wojsku hiszpańskim, a ożeniwszy się bogato, osiadł w Landrecies we Flandryi. Dziad Jana Mottego mieszkał jako zamożny człowiek jeszcze w Landrecies. Miał on jedenastu synów i jedną córkę. Ojciec Jana, przeznaczony do stanu duchownego, uciekł ze szkół i zaciągnął się do pułku Clark, złożonego po większej części z Irlandczyków, których przypędziła do Francyi nadzieja lepszej doli. Pułk ten został zniesiony podczas rewolucyi, a Motty przeniósł się do pułku kawaleryi, służył pod Dumouriezem, a następnie Kellermannem. Po śmierci pierwszej żony ożenił się drugi raz z córką Bachmanna, oficera przybocznej gwardyi królewskiej, złożonej z Szwajcarów (*Cent-Suisses de la garde du roi*). Dwa razy wracał później jeszcze do służby wojskowej. Podczas rewolucyi był w gwardyi narodowej paryskiej, a straciwszy na nieszczęśliwej spekulacyi majątek, przyjął stanowisko oficera żandarmeryi w jednej z nowszych prowincyi przyłączonych do Francyi.

Aż do początku bieżącego wieku Jan Motty przebywał z rodzicami, których był jedynym synem, w Malmédy niedaleko Liège. W r. 1801 rodzice powrócili do Paryża, gdzie Jan Motty stracił matkę. Kiedy w początkach cesarstwa horyzont polityczny Francyi się zaciemnił i zanosilo się na długie walki ze zjednoczonymi wrogami, ojciec postanowił syna wysłać za granicę. Krewna jego pani Noizières znalazła już w r. 1789 gościnnie przytułek w domu Prokopa Mielżyńskiego. Za jej to pośrednictwem Prokopowa Mielżyńska zabrała z Francyi w r. 1805 piętnastoletniego Jana Mottego, który wtedy zaledwie skończył kolegium, do Chobienic. Następnego roku został Jan Motty nauczycielem u Jó-

zefa Mielżyńskiego w Miłosławiu. Przez sześć lat bawił w Miłosławiu, przygotowując młodych Mielżyńskich do francuskiego gimnazjum w Berlinie i uzupełniając sam swoje wykształcenie.

Za Księstwa Warszawskiego otrzymał nominacją, podpisaną przez Staszycą, na nauczyciela języka francuskiego w szkole departamentowej w Poznaniu, a gdy tę w r. 1815 miano przekształcić na pruskie gimnazjum, Jan Motty był przeznaczony do szkoły departamentowej w Lublinie, lecz władza pruska zatwierdziła go na zajmowanym stanowisku. Kiedy książe Antoni Radziwiłł został namiestnikiem W. Ks. Poznańskiego, Jan Motty uczył synów jego Bogusława i Wilhelma, a po części także księżniczki Elizę i Wandę. Z czasem zawiązał się między domem Radziwiłłów a rodziną Jana Mottego serdeczniejszy stosunek. Na jednej z zabaw dziecińczych u Radziwiłłów obecnym był także jako kilkoletni chłopiec Marcelego Motty. Zagadnięty przez jakiegoś wojskowego o sympatyę dla żywiołu niemieckiego, dał odpowiedź, która się stała powodem nieprzyjemnych urzędowych przedstawień dla ojca. Jan Motty urzędował w gimnazjum przez 34 lat; usunął się w r. 1846 za rządów Brettnera.

W r. 1817 ożenił się z dawniejszą swoją uczennicą z pensjonatu Francuza de Trimail, Apolonią Herwig. Matka Marcelego Mottego pochodziła z małżeństwa o mieszaną narodowość. W pierwszej połowie naszego wieku małżeństwa między Polakami a Niemcami nie należały w Księstwie bynajmniej do rzadkości. Łączeniu się dwóch narodowości i wyznań nie przeszkadzały ani szowinizm narodowy ani gorliwość wyznaniowa. Zwłaszcza małżeństwa między Niemcami protestantami a Polkami katoliczkami często przychodziły do skutku. Zwykle dzieci pochodzące z takich mieszanych małżeństw szły za narodowością i wyznaniem matki, jednakże były także wypadki kompromisu: syn zostawał za ojcem Niemcem i protestantem, córka za matką Polką i katoliczką. Ojciec Apolonii Mottowej, narodowości niemieckiej, był radcą cłowym w Rogoźnie, Sierakowie i Skwierzynie; matka Polka, z domu Klimicka, pochodziła z rodziny litewskiej. Dom Herwigów był

zupełnie polskim. Prócz córki Apolonii, wydanéj za Jana Mottego, mieli Herwigowie jeszcze syna Augusta i córkę Katarzynę, która wyszła za profesora gimnazjum leszczyńskiego Jana Poplińskiego, założyciela i redaktora „Przyjaciela Ludu“. W Marcelim Mottym płynęła więc krew francusko-niemiecko-polska.

Wyobrażenia, które Marceli Motty wyniósł z domu rodzicielskiego, były ze wszech miar korzystne. Ojciec był człowiekiem z wyższem wykształceniem i szlachetnym sposobem myślenia, matka uosobieniem dobroci i miłości. Mamy przed sobą cały szereg listów pisanych przez rodziców do syna z czasów jego pierwszej młodości, z czasów jego pobytu w uniwersytecie. W listach tych ojciec składa swoje wyznanie wiary społecznej, życząc sobie widocznie, aby jego przekonania stały się także przekonaniem syna. Każdy niemal list jego jest poświęcony jakiejś poważnej refleksji, podczas gdy matka wzięła na siebie obowiązek zaradzania materialnym potrzebom i dostarczania potocznych nowin, tyjących się rodziny, znajomych i poznańskiego towarzystwa. Widzimy, że rodzice bardzo szczęśliwie podzielili między siebie role: ojciec reprezentuje powagę, matka miłość rodzicielską.

Z całą świadomością występuje ojciec w listach do syna jako *grondeur*, jak się żartem nazywa. Filozofia życia Jana Mottego była prosta, uczciwa, i, jak codzienne doświadczenie uczy, najpewniej prowadząca do celu. Człowiek według tejże filozofii nie istnieje jako osobnik dla siebie, ale należy do świata. Może on żyć tylko na tle społeczeństwa, do którego należy. Jako *l'homme humanisé*, jako *l'homme social* ma pewne obowiązki dla społeczeństwa, od których mu nie wolno trzymać się zdala. „Ce n'est pas assez de savoir beaucoup de grec et de latin, d'y joindre beaucoup de connaissances, d'être un jeune homme solide, avec tout cela ou ne pourrait faire de toi, qu'un pédant, il faut savoir encore et converser et vivre.“

Ten motyw, powtarzany bezustannie i prawdopodobnie urzeczywistniany w codziennem życiu, przyczynił się niezawodnie do wyrobienia w Marcelim Mottym takiego charakteru, jaki skreśliliśmy we wstępie. Stale

zaś powtarzanego przykładu na stwierdzenie powyższej zasady dostarczają Voltaire i Rousseau, którzy, pomimo pokrewieństwa przekonań, na mocy odmiennie wyrobionych usposobień doszli do odmiennych ideałów w życiu. Życie w zgodzie ze społeczeństwem, to znamionuje człowieka cywilizowanego: *tu pourrais être un peu moins Rousseau et un peu plus Voltaire*. Z listów Jana Mottego możnaby wybrać sporą wiązaną wzniosłych haseł wychowawczych, np. *vis pour tes semblables, afin qu'ils vivent pour toi, albo probité, lumière, travail, telle est notre devise*.

Również korzystnym był także nastrój naukowy domu rodzicielskiego. Jan Motty jest autorem kilku dziełek, dziś już zapomnianych. W roku 1823 wydał *Wstęp do historyi naturalnej zastosowany do szkół poznańskich*, a w następnym roku *Précis de l'histoire de la littérature française*. Więcej znaną jest jego Książeczka do nabożeństwa, na której się modliła św. Jadwiga, którą przypadkiem znalazł u pensjonarza swego Gozimirskiego i wydał w roku 1823. Wydanie to jest tem szacowniejsze, że rękopis, wróciwszy do rodziny Gozimirskich, zaginął i dotąd pomimo wznowionych kilkakrotnie poszukiwań się nie odnalazł. Odnaleziony został tylko na zamku Fischbach w Górach Olbrzymich przez Józefa Lekszyckiego futerał srebrny, w którym rękopis się przechowywał. Jan Motty prócz nauk przyrodniczych, których uczył w gimnazyum, stale zajmował się literaturą swego ojczystego języka, a zamiłowanie to przelał na syna. Nie wypada także pominąć dodatniego wpływu dwóch bliskich krewnych Marcelego, t. j. Jana i Antoniego Poplińskich, którzy przez szereg lat podtrzymywali ruch literacki w Poznańskim. Jan Popliński z Leszna zjeżdżał z rodziną podczas feryi często do Poznania i bawił w domu Mottów.

Pierwsze nauki pobierał Marcele Motty w domu. W r. 1826 wstąpił do gimnazyum ad St. Mariam Magdalenam. Gimnazyum to było wówczas umieszczone w budynku pojezuickim przy ulicy Jezuickiej. Dyrek-

torami jego byli Stoc i radca konsystoryalny Jacob, radcą szkolnym kanonik Busław. Z nauczycieli Marcelego wymieniamy Łożyńskiego, który w r. 1837 został dyrektorem w Chełmnie, Czwalinę, Buchowskiego, Wanowskiego, Poplińskiego i znanego z prac nad filozofią wschodnią Gladischa, późniejszego dyrektora w Krotoszynie. Wspomnienia z pobytu swego w gimnazjum złożył Marceli Motty w czwartym tomie „Przechadzek po mieście“. Z nauczycieli wvszczególniał go Gladisch. Kiedy po wyjściu ze szkół ofiarował swemu nauczycielowi na pamiątkę historią Migneta, ten podziękował mu za ten dar w liście, w którym czytamy: je weniger ich überhaupt die Achtung verhehlen kann, die ich aus dem früheren Verhältnisse, in dem wir zu einander gestanden, für Sie hege.

Na ławie szkolnej zawarł Marceli Motty serdeczną przyjaźń ze starszym o trzy lata od siebie Hipolitem Cegielskim i wprowadził go do domu swych rodziców, gdzie był prawie uważany za syna. Połączyło ich ożywiający obu pragnienie wiedzy i poważne pojmowanie obowiązków. Cegielski przewyższał Marcelego Mottego zdolnościami i siłą woli, którą w sobie wyrobił przez łamanie się z trudnościami od pierwszej młodości.

W ogólności można powiedzieć, że Marceli Motty uznawał wyższość umysłową Cegielskiego i chętnie poddawał się jego bystremu sądowi. Przyjaźń zawarta na ławie szkolnej zamieniła się później w ściślejszy węzeł: w roku 1841 Cegielski pojął za żonę siostrę Marcelego, Walentynę.

Złożywszy w roku 1836 egzamin dojrzałości równocześnie z Maksymilianem Kolanowskim, Hipolitem Buchowskim, Maksymilianem Szymańskim, Wiktorem Kramarkiewiczem, Maryanem Cybulskim i Andrzejem Morowskim, udał się Marceli Motty na studia do Berlina. Podróż dyliżansem pocztowym trwała półtora dnia i dwie noce. Zabrał ze sobą listy polecające do rozmaitych osób, dawniejszych znajomych rodziców z Poznania. Na żądanie ojca miał nawiązać z domami temi stosunki, aby nie zdziczeć w wyłącznym towarzystwie młodzieży akademickiej. Bywał w domu ks. ks. Radzi-

wiłłów Wilhelma i Bogusława, u Michalskiego, dawniejszego sekretarza biskupa Krasickiego i domownika Radziwiłłów, u intendanta radziwiłłowskiego Kupscha, znanych sobie z Poznania Gumprechtów i Schwarzbacha, późniejszego właściciela zakładu pedagogicznego w Wieluniu. Pierwsze kroki w świecie ułatwił mu doświadczeńszy od niego Cegielski. Studya jego rozciągnęły się na język łaciński, grecki, francuski, historią, filozofią i pedagogiką. Ojciec, sam przyrodnik, życzył sobie, aby wciągnął w zakres swych studyów także nauki przyrodnicze, pragnąc niejako utrzymać tradycją tej nauki w swój rodzinie, lecz Marcei ograniczył się do wysłuchania jednego popularnego wykładu botaniki. Nie porzucił jednakże zupełnie nauk przyrodniczych i jako dyletant doprowadził do pięknego zbioru owadów. Z początku uprawiał także grę na skrzypcach i malarstwo, lecz obie te sztuki później dla braku czasu zarzucił. Mieszkał razem z Cegielskim. Później przyłączyli się do tego contubernium Kolanowski i młodszy w hierarchii akademickiej o rok Milewski. Z licznych kolegów uniwersyteckich wymieniamy znacznie starszego Wojciecha Cybulskiego, który studya przerwane powstaniem listopadowem wtenczas kontynuował w Berlinie, Szymańskiego, Karwowskiego, Morowskiego, Modlibowskiego, Niemojewskiego, Kramarkiewicza.

Uniwersytet berliński stał wówczas pod wpływem filozofii Hegla. Hegel umarł w r. 1831, lecz filozofia jego, nastrojona na narodowy ton niemiecki i popierana przez rząd, znalazła naśladowców w prawniku Gansie, estetyku Hothonie, filozofach Werderze, Michelecie i wielu innych. Zapał do filozofii, który ogarnął młodzież polską pod bezpośrednim wpływem Hegla, a który wydał Kremera, Libelta i Cieszkowskiego, utrzymał się jeszcze po jego śmierci między polskimi słuchaczami uniwersytetu berlińskiego. Dysputowano pilnie w kołach akademickich o zagadnieniach filozoficznych, a chociaż generacya ta nie wydała filozofów polskich, wykształcenie młodzieży zyskiwało jednak podstawę filozoficzną i idący za tem uszlachetniający idealizm. Zaniedbanie filozoficznego wykształcenia w dzisiejszych czasach przyczynia się do zmateryalizowania sfer naszej

inteligencji. Marcelego Motty poszedł także w szeregi heglistów. — W studiach filologicznych poddał się wpływowi Zumpta, który erudycją swoją, jak się zdaje, więcej zaimponował młodemu adeptowi filologii, aniżeli genialniejszy od swego kolegi August Boeckh. Zumptowi zawdzięczał później polecenie do uczonych paryskich.

Po trzech latach natężonej pracy nadszedł czas egzaminów. Z koła ściślejszych znajomych Marcelego pierwszy opuścił Berlin Hipolit Cegielski, który, złożony egzamin doktorski i rządowy w r. 1839, wrócił do Poznania. Bezpośrednio po nim zdał egzamin Cybulski, w lipcu r. 1840 doktoryzował się Maksymilian Szymański, w kilka dni po nim Marcelego Motty, w dwa lata później Kolanowski i Milewski. Młodzi uczeni nawzajem wyświadczały sobie ostatnie w uniwersytecie koleżeńskie przysługi, obejmując role oficjalnych oponentów przy promocjach doktorskich. Bezpośrednio po doktoracie zabrał się Marcelego do egzaminu rządowego i złożył go w grudniu r. 1840. W końcu tego roku powrócił z patentem profesorskim do Poznania.

Rozprawa doktorska Marcelego Mottego nosi tytuł „De Fauno et Fauna sive Bona dea eiusque mysteriis”. Jest to próba wyjaśnienia kilku postaci bóstw starożytnych w sposób zgodny z ówczesnym tłumaczeniem zjawisk mytologicznych. Autor podsuwa omawianym bóstwom znaczenie fizyczne. Rzymski Faun ma być uosobieniem męskiej, płodzącej siły ziemi, podobnie jak grecki jego pierwowzór Pan. Czczona zaś przez niewiasty rzymskie pod imieniem Bona dea bogini jest według autora uosobieniem ziemi, ziemi żywicielki, jej siły rodzącej. Cześć jej miała się dostać do Italii z Grecji: Bona dea nie oznacza nic innego jak Demetrę, która na gruncie italskim miała otrzymać imię Fauna. Na jej cześć odbywały się corocznie misterye, w których tylko kobiety mogły brać udział. Obrzędy misteryów były według Marcelego Mottego czynnościami obrazowemi, oznaczającymi pewne siły przyrody.

Od czasu napisania powyższej rozprawy zmieniły się znacznie zapatrywania na mytologię. Dla tego wy-



niki jój nie mogą już dzisiaj zadowalać. Ale nic dziwnego; od tego czasu upłynęło już lat nieomal sześćdziesiąt. Dziś nie podobna twierdzić, by Faun był przeniesionym z Grecyi Panem; oba bóstwa powstały niezależnie od siebie i należą do tych istot, któremi wyobraźnia starożytnych zapełniała i ożywiała lasy, błonia i niwy. Natomiast słusznie uważa autor Bona dea za bóstwo greckie, tylko że nie można go identyfikować z Demetrą; najprawdopodobniej właściwym imieniem bogini, pod którem znaną była wtajemniczonym swoim czcicielkom, jest D a m i a. W Italii identyfikowano ją z dawniejszem bóstwem rzymskiem Fauną.

Na swój czas była rozprawa Mottego bystrem usiłowaniem rozwiązania trudnych zagadnień mytologicznych. Trwałą jój zasługą jest zgromadzenie porzucanego materiału literackiego, epigraficznego i archeologicznego. Z tego powodu dotąd z uznaniem jest cytowana w podręcznikach mytologicznych, jako pierwsza próba wytłomaczenia Fauna i Bona dea. Napisana jest jasno i łaciną gładką. Między tezami doktorskimi znajdujemy charakterystyczne twierdzenie, że wpływ francuzczyzny nie oddziałał ujemnie na literaturę polską. Oponentami byli: Cybulski, Kolanowski i Milewski.

Znajomość języka francuzkiego, którą wyniósł z domu i zgłębił przez studia w uniwersytecie, zwróciła na niego uwagę władz szkolnych. Życzliwie dla niego usposobiony radca konsystoryalny Jacob, zawiadujący szkolnictwem poznańskim, zamierzał wysłać go na koszt rządu na dalsze studia języka francuzkiego do Francyi. Zanim jednakże to nastąpiło, kazano mu odbyć t. n. rok próby. Posłano go do Międzyrzecza. Założona w r. 1833 w Międzyrzeczu wyższa szkoła rozwinięła się pod dyrekcją energicznego dyrektora Kersta w tym czasie na pierwszą szkołę realną w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Krótco przed przybyciem Mottego do Międzyrzecza zrównano ją co do praw z innymi wyższymi zakładami naukowemi.

Z ciężkiem sercem wyjeżdżał Marcelli na swoją pierwszą posadę. Międzyrzecz, dawniejsze starostwo

Jana Zamojskiego, jak dzisiaj tak i wówczas uchodził za drugorzędne miejsce pobytu dla urzędników Wielkiego Księstwa. Miasto, które za polskich czasów leżało na traktzie prowadzącym z Polski i Rosji do Niemiec, po okupacji Księstwa przez przełożenie traktu na Skwierzynę, Landsberg i Kistrzyn do Berlina, znalazło się nagle na uboczu. Dość wysoko w Międzyrzeczu rozwinięty przemysł i handel sukniem, które dostawało się podobno nawet do Chin, upadł zupełnie, a w mieście odciętem od świata zapanowała nuda i parafiańszczyzna.

Młody 22-letni profesor czuł się bardzo nieszczęśliwym w Międzyrzeczu. „Tutaj u nas świat tak ograniczony w całym znaczeniu tego wyrazu, że nic zgoła nie tylko nowego, ale nawet starego niema, coby kogokolwiek zająć mogło“, — pisze w liście do rodziców. Trudno mu było także wdrożyć się w małomiasteczkowe towarzyskie stosunki. „Zostałem w tych dniach nadzwyczajnym członkiem resursy za 1 tal. 1 srg. 3 fen. kwartalnie. Co dzień więc chodzę do ogrodu, w którym się zbiera cały cywilizowany świat międzyrzecki. Trafiło się, że dwa lub trzy dni po sobie przypadkiem z jedną panną dość długo rozmawiałem, wczoraj się mnie już matrony pytały, czy się chcę z nią zaręczyć i wyszczególniały mi wszystkie korzyści ztąd pochodzące, ale ja oświadczyłem, że tak szybko podobnych interesów nie odbywam. Teraz już co dzień z inną rozmawiam, nim się kolej wróci, to 53 dni minie, nie może więc paść na mnie żadne podejrzenie“. Daremnie czuły ojciec pocieszał go cytatem z Horacego: *quocunque loco fueris, vixisse libenter te dicas*, daremnie przyrównywał Międzyrzecz do horacyuszowskiego *Ubrae*, do którego się chętnie cofał Mecenas znudzony życiem dworskim, choć było schowane w pontińskich bagnach.

Jakoby dla wywołania tem większego poczucia osamotnienia i nudy, właśnie rok 1841—42 dawał bardzo wiele towarzyskiego urozmaicenia mieszkańcom sąsiedniego Poznania, dokąd myśl jego mimowoli się przenosiła. Poznań ożywił się bowiem z powodu powrotu z Kołobrzegu arcybiskupa Dunina, a nowy na-

miestnik hr. Arnim przyczyniał się niemało do podniesienia ruchu towarzyskiego w mieście.

Za remuneracją 16 tal. 20 srg. miesięcznie uczył Marcei Motty w szkole międzyrzeckiej łaciny i greki, w drugim półroczu dodano mu jeszcze do tego 5 godzin języka polskiego. Uczniowie byli już wówczas prawie wszyscy Niemcami, z polskich uczniów miał Jarochowskiego, któremu udzielał także prywatnych lekcji. Sam dla siebie pracował w historii. Tu nad zlewem Obry i Paklicy, zwanój w górnym biegu Jordanem, począł myśleć o przekładach z literatury starożytnej na język polski, które później stanowiły znaczną część jego literackiej działalności. Bez żadnych wzorów i subsydjów polskich, których mu miasto na wskroś niemieckie nie mogło dostarczyć, przetłomaczył na próbę hexametrem pierwszą satyrę Horacego *Qui fit Maecenas*. Co do budowy wiersza naśladował Mickiewicza, odstępując od jego hexametru w trzeciej stopie. Mickiewicz w tem miejscu umieszcza zwykle spondej. „Mnie się zdaje“, pisze, „że równie dobrze może być na trzecim miejscu daktyl, skoro ostatnia krótka tego daktylu jest albo jednogłoskowym wyrazem, albo pierwszą bezprzyciskową sylabą następnego wyrazu. Jednogłoskowe brałem za długie, skoro arsis na nie pada, również jak i bezprzyciskowe sylaby w kilkosylabowych wyrazach“. Jak poważnie, a z drugiej strony nieśmiało się do téj pracy zabierał, wnosić można z tego, że prosił o przysłanie mu „Poetyki“ Królikowskiego. Kiedy następnie otrzymał egzemplarz „Grażyny“ i porównał swoje hexametry z mickiewiczowskimi, znalazł ku wielkiemu zadowoleniu swemu, że postępował podług téj samój metody.

W kilka tygodni potem przesłał do ocenienia Cegielskiemu drugą odę Horacego, prosząc, aby nie dawano jój do czytania pannom, bo „tam trochę rzymskie dowcipy. Jeżeli się to na co zda, tobym mógł w krótkim czasie resztę przetłomaczyć, bo mi to dość łatwo idzie.“

Nareszcie po ciężkim roku próby otrzymał wiadomość, że ministeryum wysyła go do Paryża, przyznawszy mu stypendyum 400 talarów. Dla rozweselenia

syna ojciec ubrał to zdarzenie w dowcipną trawestycją, ustępu z życiorysu Miltiadesa przez Corneliusa Neposa. „Marcellus, Johannis filius, Posnaniensis. Cum et probitate generis et origine maiorum et sua modestia unus omnium maxime floreret eaque esset aetate, ut non iam solum de eo bene sperare, sed etiam confidere homines a consiliis possent talem futurum, qualem cognitum iudicarunt, accidit, ut principes Lutetiam Parisiorum iuvenem vellent mittere et delecti Interflavios missi sunt, qui consulerent hominem ornatissimum Kerstem, quo potissimum doctore uterentur. Namque tum Franco-galli hanc civitatem habebant, cum quibus philosophia Hegeliana erat dimicandum. His consulentibus nominatim ornatissimus director Kerst praecepit, ut Marcellum sibi dimicatorem sumerent; id si fecissent, incepta prospera futura.“

Tak więc w r. 1842 Marcelli Motty Międzyrzecz miał zamienić na Paryż. Czując dobrze, że to nie będzie podróż dla przyjemności, zabierał się do niej z całym przygotowaniem, aby, jak sam pisze, nie wrócić z niej głupszym, aniżeli pojechał.

Z pobytem w Paryżu łączono u nas aż do niedawnego czasu pojęcie dokończenia wykształcenia, a może nawet dotąd w niejednym zakątku Polski zapatrywanie pod tym względem się nie zmieniło. Był czas, że pobyt w Paryżu równał się niejako dyplomowi doktorskiemu, a znane przysłowie o owsie i ryżu raczej za dowcip, aniżeli za prawdę uchodziło.

Znaczenie podróży jako środka wychowawczo-kształcącego w rozmaitych czasach było rozmaite. Podróży dla pozyskania większej ilości obrazów umysłowych, dla rozszerzenia horyzontu umysłowego, dawniejsze czasy nie uznawały. „Pocóż patrzeć na nowe góry, pola, lasy, rzeki, morza, ludzi albo zwierzęta, kiedy to wszystko można widzieć w domu“, mówi w połowie siedemnastego wieku Komeński. W wiekach średnich i w czasie humanizmu wyjeżdżano za granicę, aby się nauczyć tego, czego się we własnym kraju nie można było nauczyć. Podróże dla nauki języków są zarządzeniem nowszem, odkąd język łaciński, którego się każdy mógł wyuczyć w własnym kraju, przestał być językiem

porozumienia się między ludźmi uczonymi. Locke, kreśląc zarys wychowania gentlemana, radzi wyjeżdżać albo bardzo rychło, między rokiem 7—16, zwłaszcza jeżeli chodzi o wyuczenie się nowożytnego języka, albo znacznie później, po dokończeniu wychowania i wykształcenia.

Jak widzimy, było Marcelemu Mottemu przeznaczone zastosować się do drugiego przepisu. Księstwo i emigracja były wówczas ogniskami koncentrującymi ruch umysłowy całej Polski. Rozwijająca się w tym czasie literatura w Księstwie czerpała siły przeważnie z emigracji. Wyjeżdżając do Paryża, miał więc Marceli Motty poznać to źródło duchowe, miał poznać głównych przedstawicieli myśli i literatury narodowej. Emigracja z zaboru pruskiego w skutek amnestyi Fryderyka Wilhelma IV po większej części już była wróciła do kraju; pozostała jeszcze emigracja z innych zaborów, do której się przyłączyli dobrowolni wychodźcy. Korzyść, jaką Marceli Motty wyniósł z pobytu w Paryżu, byłaby może znacznie większą, gdyby on nie przypadł na czas najzupełniejszego zastoju umysłowego emigracji, spowodowanego towiańszczyzną i rozterkami politycznymi.

Podróż przez Berlin do Paryża odbywał Marceli Motty już częściowo koleją, czyli, jak sam pisze w listach, „wozem parowym“. Dobroczytna ta instytucja, nieznana jeszcze w Poznaniu, straszyla serce kochającej matki, radzącej w listach synowi, aby raczej drogę odbywał dyliżansem, albo siadał przynajmniej zawsze w ostatnim wozie. Pojechał przez Magdeburg do Hali, a ztamtąd dyliżansem do Kassel. Z daleka tylko widział Wittenbergią i kościół, na którym Luter przybił swoje tezy, bo „koleje żelazne nigdy nie idą przez miasto, tylko zawsze obok“, za to oglądał dom urodzenia Lutra w Eisleben i kopalnie srebra hrabstwa Mansfeldzkiego, którym zawdzięczały swe pochodzenie talary dziś już po większej części wycofane z kursu, z napisem „Segen des Mansfelder Bergbaues“, zatrzymał się w Kasslu i rozkoszował pięknnością późniejszego więzienia Napoleona III, sąsiedniej Wilhelmshöhe, zwiedził Frankfurt n. Menem i w drodze do Moguncyi ujrzał pierwszy raz Ren, „który tutaj dziesięć razy i więcej szerszy jest od naszej Warty.“

Z Moguncyi statkiem parowym udał się do Kolonii. Nie widział „nic równie czarującego jak brzegi Renu od Moguncyi do Koblencyi.“ Zatrzymał się w Akwizgranie i był na balu, wyprawiaym przez gospodynią hotelu dla gości hotelowych z powodu urodzin córki. Dojechawszy następnie dyliżansem do kolei w Liège, puścił się do Brukseli. Przyzwyczajony jako Wielkopolanin do widoku rozległych łąnów zbożowych swój ojczyzny, podziwiał kraj między Liège a Brukselą, podzielony na małe kwadraty, starannie uprawiony, grunta oddzielone od siebie szpalerami i alejami drzew, bez nieużytków i sapów.

W Brukselii zapoznał się z dr. Grużewskim, lekarzem szpitalnym i złożył wizytę sędziwemu Lelewelowi. Pod wrażeniem tego starca, skołatanego wiekiem, żyjącego w dumnej nędzy, a szanowanego powszechnie i najpopularniejszego człowieka w Brukselii, napisał osobay list do rodziców, poświęcony wyłącznie Lelewelowi. List ten był przeznaczony dla „Orędownika naukowego“. Popliński nie wydrukował go, ponieważ publikacya jego mogła sprawić przykrość Lelewelowi. Wyszedł on po śmierci Lelewela w listach Wojtusia i nieco rozszerzony w drugiej części „Przechadzek po mieście“. Prócz Lelewela odwiedził Marceli Motty w Brukseli jeszcze kilku innych rodaków, od których doznał bardzo serdecznego przyjęcia.

Z Brukseli w 27 godzin dostał się do Paryża, do którego wjechał przez faubourg St. Denis, rewidowany na liniach miejskich cztery razy tak impertynentnie, że nie tylko kuferki przetrząśnięto, ale jemu samemu po kieszeniach szukano, surdut odpięto, po nogach, po grzbiecie macano. Zaraz po przyjeździe udał się do Sokolnickiego, który się wtedy przygotowywał do egzaminu z inżynieryi. Ten pomógł mu w wyszukaniu mieszkania. Mieszkał en étudiant w quartier latin za 22 fr. miesięcznie. „Mieszkanie takie w Paryżu jest wcale co innego, jak gdzieindziej; nie jest to pokój, ani pokoik, ale klatka sześć kroków długa, pięć szeroka, której większą połowę zajmuje ogromne łóżko, przeszło dwa kroki szerokie. Mam tedy między łóżkiem a przeciwną ścianą aleję sześć kroków długą, a trzy szeroką, która do wszelkich ćwiczeń gimnastycznych wystarczyć musi.“

Urządziwszy się, zaczął się rozglądać po Paryżu. Wiedząc zaś, że umysły rodziny, a zwłaszcza ojca, żywo są zajęte jego pobytem w Paryżu, zdawał w listach wiernie sprawę ze swoich wrażeń. Ustępy z niektórych listów ogólniejszej treści dostały się do „Orędownika naukowego“ na rok 1842 i 1843 n. p. Lud francuski, jego zabawy, pola elizejskie; Sorbona i Collège de France; Karnawał paryski. Są to lekkie i barwne opisy życia paryskiego, zdradzające już wtedy ogromną jego zdolność do feljtonu. W ogólności listy z Paryża są pisane z nadzwyczajną bystrością, jakiej się właściwie w tym wieku po autorze nie można było spodziewać. Paryż jest podług niego owym Homerem, ową biblią, którą każdy w szczegółach na swój sposób może interpretować, ale najtrudniej jest uchwycić jego całość. Nie mogąc na tem miejscu powtórzyć wszystkich jego spostrzeżeń, przytaczamy tylko najwięcej charakterystyczne.

Krótko po przyjeździe był w Théâtre français na przedstawieniu tragedyi Corneille'a. Sposób grania francuskich aktorów nie podobał mu się zupełnie. „La tragédie est ce qu'on peut voir de plus abominable à Paris, le vrai tragique n'est pas dans le caractère français.“ Jedyne wyjątek robi dla Racheli, dla której nie może znaleźć słów podziwu. Pod wrażeniem jej czarującej gry pisze: „il est impossible de s'imaginer quelque chose de plus parfait dans ce genre. On est tout étonné de voir ce qu'un talent si extraordinaire peut faire des lamentables déclamations de Corneille.“ Za to uważa Francuzów za niezrównanych w komedyi.

Innego rodzaju teatrem, dla niego wówczas zupełnie nieznanym, był parlament francuski. Doznał na jego widok tego samego rozczarowania, którego doznaje każdy, kto pierwszy raz ma sposobność przypatrzania się z bliska pracy ojców narodu. Na próżno szukał w nim powagi i godności senatu rzymskiego: hałas, harmider, nawoływanie do porządku, którego nikt nie słuchał, ogłuszyły go zupełnie. Szczególniejszą uwagę zwrócił na postać, znaną sobie już z gazet i prac literackich, t. j. Thiersa. „Figurez vous un petit homme,

plus petit que moi, très mobile, un visage à peu près rond, les lunettes sur le nez, une petite bouche, le menton arrondi, la physiognomie riante, une expression de malice presque diabolique autour des lèvres surtout, le regard éveillé et perçant et vous pouvez vous faire une idée de Mr. Thiers."

Ciekawą jest charakterystyka ówczesnego społeczeństwa francuskiego. Z zapasów rewolucyjnych wyłonił się trzeci stan jako stan panujący. Ale stało się to tak szybko, że nie zdołał on się dostroić do wysokości swego zadania, a powodzenie tak nagłe przyczyniło się raczej do zmateryalizowania go, niż do umoralnienia. „L'esprit marchand le guide, les vapeurs des comptoirs et des boutiques sont encore élément qu'il respire." Duch, ożywiający stan panujący, stał się także duchem rządu. Rząd panuje przez wyznawanie tych samych zasad, które ożywiają większą część narodu. Egoizm, chciwość, sprzedajność nurtują społeczeństwo. Do posad i urzędów dochodzi się, nie jak w Prusiech, na mocy egzaminów, na mocy kwalifikacyi, ale przez protekcją.

Wybory do parlamentu nie są wyrazem wolnej woli wyborców, ale postronnych względów. Dla tego sympatya jego jest raczej po stronie stronnictwa konserwatywnego: „rien de plus poli, de plus amical, que les débris de l'ancien régime et de l'empire, mais au contraire rien de plus grossier, de plus dédaigneux, de plus vain et de plus mal élevé que les jeunes gens de toutes les classes." Nie znalazł u Francuzów owęj sławionęj grzeczności i uprzejmości, o której się tyle nasłyszał. Starsi zachowują etykietę i powierzchowną grzeczność, ale szczeręj uprzejmości ani trochę w tem niema, chyba że widzą, że coś ze znajomości zyskać będą mogli.

Jako pedagog i sam mając świeżo w pamięci swe własne życie w uniwersytecie, z szczególniejszym interesem przypatrywał się młodzieży francuskiej. Świadcstwo jego jest tem ciekawsze, że w czasie ópótwiekowym, który nas od jego obserwacyi oddziela, jak wiadomo, nastąpiła wielka zmiana na lepsze: młodzież francuska (tak samo jak nasza) jest dzisiaj jeszcze swy-

wolna i lekkomyślna, ale pracowita. Żyjąc w najbliższym otoczeniu téj młodzieży w quartier latin i patrząc na nią wzrokiem krytycznym, miał sposobność poznać ją lepiej, niż każdy inny. Doświadczenie jego dotyczyło głównie prawników, którzy (podobnie jak w innych krajach) stanowili arystokracją między studentami.

Paryska młodzież uniwersytecka przewyższała brutalnością burszów niemieckich, biła się po łbach i twarzach, nie biorąc sobie tego wcale za złe, co drugie jéj słowo było *b o u g r e*, *f o u t r e*, rozpijała się na piwie strasburskiem, żyła w dzikich małżeństwach z gryzetskami, biła je i tańczyła po lokalach publicznych. Ponieważ bakaalaureat, odpowiadający naszemu egzaminowi dojrzałości, składano w piętnastym, szesnastym, a co najwyżej siedemnastym roku życia, młodzież za rychło dochodziła do samodzielności. Jak akademik niemiecki fajkę i rapier, tak francuski sprawiał sobie trąbę (*cornet à pistons*), na której dął całemi godzinami. Stopień jego wykształcenia był bardzo niski, n. p. jeden z młodzieży pytał się Marcelego Mottego, czy Bawarya leży w Prusiech, czy w Austrii. Akademik paryski przepędzał swój czas w *la chaumière*, nie pracując prawie wcale, ponieważ egzamina były niezmiernie łatwe. Szczyt zdziczenia widział Marcele Motty w tańcu iście akademickim, kankanie. Dziś ten szczytny produkt moralnego rozluźnienia galickiego wyszedł już po za granice swéj ojczyzny i znany jest również nad Wartą i Wisłą. Wówczas przedstawiał się oczom uczciwego Wielkopolanina jako szaleństwo. Widział go pierwszy raz na boulevard Mont-Parnasse w lokalu *Ojca Lahire*. Co niedzielę, poniedziałek i czwartek odbywały się tam bale akademickie w rzesisto oświetlonym ogrodzie. Kiedy taniec przekraczał dość dalekie granice przyzwoitości, Ojciec Lahire, jako „*juge suprême et censeur*“, zgrabnym zamachem wyrzucał wykraczające indywiduum za drzwi. Wśród takiego życia młodzież dziczała, a wstępując po ukończeniu studyów w obowiązki, musiała pracować nad przerebieniem swéj skóry i strzedz się, aby nie popadła w swe gminne narowy, co jéj się nie zawsze udawało.

Bolejąc szczerze nad zdemoralizowaniem społeczeństwa francuskiego, dodaje: „et pourtant c'est une nation si noble au moral et au physique cette nation française, une nation d'élites, dans la quelle on se sent à son aise presque que dans sa patrie, une nation franche, sincère, pleine de talents, pleine d'honneur; il est donc impossible, qu'elle reste longtemps dans cette position fausse“. Słowa te podyktowała zapewne miłość synowska do ojca, prawdopodobnie niemile dotkniętego tym tak niekorzystnym opisem.

Jednakże wśród ogólnego zepsucia widzi Marceli Motty początki reakcyi i powrotu do dawnych ideałów, upatrując je w wzmagającym się coraz bardziej wpływie Kościoła i duchowieństwa. Wiek osiemnasty, ów wiek krytycyzmu, indywidualizmu i wielu innychizmów, o których się można doczytać w każdej historii filozofii, podkopał w całym świecie usposobienie religijne. W Paryżu zwrócił Marceli Motty pierwszy raz uwagę na usiłowania duchowieństwa w celu przywrócenia religijności i zdał z tego sprawę w listach do swoich. Pełno w Paryżu kongregacyi, pełno bractw, pełno wystawnych i uroczystych nabożeństw i ceremonii. Duchowieństwo wyzyskiwało każdą sposobność, aby ludziom imponować i umysły do siebie przyciągać. Co zaś najwięcej go uderzyło, to skromność i pokora, z jaką duchowni występowali. Nie był bowiem przyzwyczajony do widoku księży ze spuszczonei oczami i splecionemi rękami. Zaręczano mu, że jeszcze przed dwudziestu laty tylko stare kobiety chodziły do kościoła, podczas gdy żadnemu mężczyźnie to do głowy nie przyszło. Księża tyle już okazali, iż co dzień było po wszystkich kościołach pełno ludzi różnej płci, wieku i stanu, młodszych prawie więcej niż starych. Reakcyja duchowieństwa była śmiała i publiczna, a wychodziła od ludzi głęboko wykształconych i rzadko wymownych. L'abé Dupanloup, profesor Sorbony, wykładał kurs, w którym dowodził, że rozum ludzki kroku naprzód zrobić nie może bez objawienia i w przepelnionej sali miażdżył Woltera, Spinozę i innych filozofów. W kościele St. Séverin Jezuita Ojciec Revignan, człowiek porywającej wymowy, miewał co tydzień nauki, na

których bywali sami mężczyźni. Dowodził w nich konieczności powrotu do filozofii scholastycznej: rozum ludzki, nie siląc się na własne pomysły, ma tylko porządkować i klasyfikować objawienie.

W Paryżu miał Marceli Motty sposobność poznania OO. Zmartwychwstańców. W jesieni r. 1842 przyjechali do Paryża Kajsiewicz, Dański i Jełowicki. Działali oni w zakresie emigracji polskiej w tym samym duchu, co poprzednio wymienieni francuscy księża. Postanowili wzniecić ducha religijnego w wychodźcach i nawrócić do katolicyzmu tych, którzy weszli na ścieżki niewiary, skeptycyzmu i zmysłowości. Co niedzielę po mszy jeden z nich miewał polską exortę przeciw filozofii przeszłego wieku, dowodząc konieczności połączenia wiary z narodowością, jako silnego filaru w utrapieniach narodu naszego. Szczególny podziw wzbudzał w Marcelim talent kaznodziejski Kajsiewicza, dawniejszego zapalonego demokracji i emisarjusza. Z zapalem wymowy, z siłą i trafnością wysłowienia łączył gruntowną naukę i nie małą biegłość w szermierce teologicznej. Marceli mówi o nim: „jest to ksiądz duszą i ciałem, pełen poświęcenia, szczerzej gorliwości, przekonany o świętości i prawdzie swjej sprawy; jest to ksiądz, jakich u nas w kraju mało, a jakimiby wszyscy być powinni“. Chwila, w której OO. Zmartwychwstańcy zaczęli działać w emigracji, była dobrze wybrana, bo już w sierpniu pisze Marceli: „tutaj między Polakami religijność coraz bardziej bierze górę“.

Szukając dla swoich studyów łączności z uczonymi, zrobił to spostrzeżenie, że w Paryżu trudno nawiązywać stosunki. Wizyty u uczonych paryskich, do których przystęp otwierały mu listy polecające berlińskiego filologa Zumpta, kończyły się na kilku ogólnikowych frazesach i nie doprowadzały do bliższej zażyłości. Tego rodzaju była jego wizyta u znanego hellenisty Benedykta Hasego, współpracownika nad nowem wydaniem Stefanowego Thesaurusa greckiego. Mimo to udało mu się zbliżyć do kilku uczonych francuskich.

Zapoznał się z uczonym epigrafikiem p. Lebas, profesorem de l'école normale i członkiem instytutu.

Lebas krótko potem przedsięwziął podróż na wschód i wslawił się dziełem, wydanem wspólnie z Waddingtonem p. t.: *Voyage archéologique en Asie Mineure*, którem rozszerzył znacznie znajomość inskrypcyi greckich. Za jego pośrednictwem otrzymał pozwolenie uczęszczania na posiedzenia académie des inscriptions i korzystania z biblioteki Mazarina. Jak się zdaje, zajął się Lebas szczerze młodym polskim uczonym i obiecał mu dostarczyć sposobność przyjrzenia się szkolnictwu francuskiemu. Marcelli Motty zamyslał bowiem wypracować dla pruskiego ministerjum oświaty referat o tym przedmiocie. Jednakże, podczas gdy dzisiaj świeckie kolegia francuskie (ale nie duchowne) dla każdego cudzoziemca stoją otworem, wówczas pomimo usilnych starań, nie mógł sobie do nich wyrobić przy-
 stepu.

Za to z łaski Lebasa miał sposobność uczestniczenia w uroczystości rozdawania nagród uczniom gimnazjalnym (*grand concours des collèges*). Uroczystość ta dała mu wiele do myślenia. U narodu francuskiego, wrażliwego na wszystko, co pobudza miłość własną, ambicya stała się ważnym motywem pilności w szkołach. Co rok władza premiuje najlepsze postępy uczniów. Chociaż Marcelli Motty rozporządzał wówczas bardzo krótkim doświadczeniem dydaktycznem, trafnie ocenił problematyczną wartość tego zarządzenia. Ambicya, o ile się opiera na etycznej idei doskonałości, jest bezwątpienia dobrym motywem w wychowaniu. Ale cóż się dzieje w szkołach francuskich? Ponieważ zaszczyt z powodu otrzymania medalu nie tylko spada na poszczególnego ucznia, ale zarazem na liceum, na zakład naukowy, na nauczyciela, nauka mimowoli przechodzi w dresurę pojedynczych indywiduów ze szkodą ogółu. Przytacza przykład, że, jeżeli się okaże, iż uczeń robi dobre tłumaczenia łacińskie, kolegium albo pensyonat ćwiczy go tylko w tłumaczeniu, zaniedbując resztę nauki i resztę uczniów. Tak więc uczeń uczy się tylko dla konkursu, a nie dla życia. Dla pensyonatów medale są poleceniem, na które się całemi tygodniami powołują w anonsach dziennikarskich. Z tego względu emulacyą w szkołach francuskich uważa za wprost szkodliwą.

prowadzącą do spaczenia charakteru, a konkursy wymagałyby według jego zdania innego załatwienia.

Przez Lebasa poznał innych uczonych paryskich. Bardzo życzliwym okazał się dla niego Le j a r d, były sekretarz Talleyranda, prezes akademii des inscriptions, autor dzieła o mitologii wschodniej. Pośredniczyła w związaniu tej znajomości także rozprawa Marcelgo de Fauno et Fauna. Poznał historyka sztuki i archeologa K a r o l a L e n o r m a n t, autora wielu uczonych dzieł, który później, jak się zdaje, dla igraszki puszczał umyślnie w świat fałszywe inskrypcje, w których autentyczność zrazu wierzono w Niemczech. Bardzo instruktywną była dla niego znajomość z p. T o u r r e i l, twórcy nowego systemu filozoficznego, który tak dalece zajął młodego Marcelgo, że chciał o nim zdać sprawę w poznańskim „Orędowniku naukowym“. Zaznajomienie się z panem B u c h e z zdecydowało jego zamiłowanie do historii.

Książka Bucheza *Introduction à la science de l'histoire* poruszyła w jego umyśle spekulacją filozoficzną, do której się wprawił swego czasu w uniwersytecie. Zaczął inaczej pojmować historię: opuścił stanowisko indywidualne, a przeniósł punkt patrzenia na kolektywne organizmy, składające ludzkość. Historia przestała być dla niego zbiorem faktów, wojen, układów, zatargów dynastycznych, a stała się organizmem naukowym, rządzącym się ideą i mającym cały świat objawów. Książka Bucheza, na którą się odwołuje także Mickiewicz w swych wykładach, tem więcej go zajęła, że otwierała przed nim nieznane dotąd horyzonty. Za jego czasów szkolnych bowiem historia uchodziła za przedmiot poboczny, wegetujący w cieniu przedmiotu koncentrującego w sobie całe wykształcenie, t. j. łaciny. Jego nauczyciel historii, Stoc, nie dał mu głębszego zrozumienia historii, ograniczając się do anegdot historycznych i kilku lepiej sobie znanych ustępów.

Pod wpływem historyozofii Bucheza Marcelli Motty napisał i wydrukował w „Orędowniku Naukowym“ na rok 1843 rozprawę p. t. *Słów kilka o historii powszechnej i wykładzie jej po gimna-*

z y a c h. Jeżeli wychowanie ma doprowadzić do umoralnienia człowieka, najprzedniejszym przedmiotem kształcenia jest, obok nauki religii, nauka historii. Historia ma w sobie siłę wychowawczą. Człowiek bowiem nie może zasklepić się w swoim ja i zostać egoistą, widząc w nauce historii, że każdy naród i każde indywiduum ma swoją funkcją do spełnienia. Pod wpływem nauki historii poznaje, że nie istnieje dla siebie, lecz dla ogółu. Nauka historii przekonuje go, że człowiek, żyjący zdala od organizmu ludzkiego, jest nieprawdą, jest chorobą. Nie ograniczając się do określenia wychowawczego działania historii, próbował młody pedagog dać także dydaktyczne szczegóły. Trzystopniowość nauki historii, którą poleca, dziś w szkołach pruskich ogólnie jest przeprowadzona. Co zaś do techniki postępowania dydaktycznego, dzisiejszy sposób uczenia historii różni się od sposobu poleconego w niniejszej rozprawie, n. p. na zakładanie skryptów historycznych dzisiejsza dydaktyka chyba się nie zgodziła. W ogólności część tycząca się praktycznej nauki historii słabszą jest, aniżeli część ogólna: czuć w niej brak indukcji szkolnej i doświadczenia, które się zyskuje przez dłuższe obserwowanie młodocianych umysłów. Rozprawa ta, która, o ile nam wiadomo, jest jedyną pracą pedagogiczną Marcelego Mottego, miała w tłumaczeniu niemieckim być przesłaną ministeryum oświaty pruskiemu.

W pierwszych miesiącach swego pobytu w Paryżu żył przeważnie z Francuzami. Było to zgodne z głównym celem, dla którego udał się do Francji, t. j. z celem wyuczenia się języka francuskiego. Jakoż po kilku miesiącach zrobił to przyjemne doświadczenie, że, kiedy mówił po francusku, nikt go nie uważał za cudzoziemca. Ścisła zażyłość wyrobiła się między nim a dwoma współmieszkańcami hotelu de Brésil. Jednym z nich był znany mu już z Poznania Michał Sokolnicki, który wówczas studyował w Paryżu inżynierią i po różnych niepowodzeniach umarł po r. 1880 jako kolonista w Algierze; drugim był dr. Siegfried, który, porzucawszy praktykę w Kościanie, wybrał się na dalsze studia do Paryża, a zaprząwszy się tamże w rydwan To-

wiańskiego, padł jako ofiara messyanizmu. Bardzo rychło zaczął także bywać u książąt Czartoryskich.

Z czasem nawiązał także stosunki z wychodźcami. Rozpatrzywszy się w położeniu maratonomachów polskich na obczyźnie, szczerze bolał nad ich losem. „Bieda tu z naszymi“, pisze, „niektórym dzieje się dobrze, ale większa część żyje mizernie z małego żołdu, a przytem niema spokoju, trapią wcióż tęsknotą za krajem. Niech ludzie mówią, co chcą, nie łatwo to sobie wyperswadować, być wydartym z łona rodziny, przyjaciół, rodaków i zanieśionym do obcego kraju, między obcych ludzi, których życie i dążności zupełnie inne; wielu już tu przyszło w późniejszym wieku, życie swe spędziwszy w wojsku lub na wsi, trudno im bardzo na stare lata wziąć łokieć w rękę, męczyć się nad warsztatem lub książką i przytem cierpieć niedostatek, mieć wcióż wesołą i szczęśliwą przeszłość w pamięci, a przed oczyma biedę, lament i grób na obcej ziemi. Kto samochcąc wychodzi z ojczyzny w celu zarobku lub rozrywki, temu wszystko łatwe i piękne się zdaje, ale nie tak tym, co wyjść musieli, a wrócić nigdy nie mogą, zerwawszy wszelkie stosunki z tem, co im było drogie. Musi to być położenie okropne — mnie się zdaje, żebym zwaryował. To też bardzo dużo z nich waryuje i na suchoty umiera, a część większą jeszcze tylko nadzieja utrzymuje przy życiu i zdrowiu. Choć na pozór wielu ma twarz wesołą, ale naruszyć tylko tę strunę, wspomnieć położenie, lub kraj, co opuścili, to widać, co każdy z nich czuje. Nie tak łatwo, jak sądziłem, tutaj się aklimatyzować, bo między nami a Francuzami w każdym względzie przedział ogromny. Człek wszędzie prawie żyć może, ale nie wszędzie mu dobrze, tylko tam, gdzie go rozumieją i równie jak on myślą“.

Emigracya ówczesna składała się z ludzi twardych, zdrowych fizycznie i umysłowo: niejednen z wychodźców żył ze szczupłego żołdu 33 franków miesięcznie, wypłacanego przez rząd francuski, a wyglądał czerstwo i chodził z uśmiechniętą twarzą. Składki, zbierane na emigrantów, nie zawsze dochodziły przeznaczonego celu. Z listów Marcelego dowiadujemy się, że demokratyczna część emigracyi prawie nic ze składek nie otrzymywała.

Towarzystwo dobroczynności kobiet polskich w Paryżu robiło, co mogło, by zaopatrzyć przynajmniej najwięcej potrzebujących. Księżna Czartoryska i inne panie narażały się przy zbieraniu składek na tysiącne nieprzyjemności. „Ja sam daję, ile mogę, tu i owdzie, bo to święta powinność“.

Poufniejsze zbliżenie się do emigracyi nie było jednak łatwem dla kogoś, który przekonaniem swemi stał po za jej kołem. Jak wiadomo, emigracją pochłaniała polityka: stronnictwa, które swego czasu zwalczały się w kraju, przeniosły tę walkę na obcą ziemię. Politykowanie było w emigracyi tak ogólne, że tylko wyjątki zdołały się pogodzić z rzeczywistością i, stojąc z dala od niesnasek, poświęcić się realnej i produktywnej pracy. Kto w emigracyi nie zajmował się polityką, zwłaszcza w czasie poprzedzającym rok 1846, stawał osamotniony po za kołem, lub ograniczyć się musiał do ciasnego kółka ludzi tak samo myślących. „Tutaj bowiem każdy człowiek jest politycznym człowiekiem; tutaj nie można, tak jak u nas, powiedzieć: nie jestem ani czarny, ani biały, ani czerwony; tutaj trzeba koniecznie przybrać jakąś barwę i powiedzieć: tym jestem. Bardzo często nawet mimowoli człowieka ufarbują. Wchodząc więc w bliższe stosunki z ludźmi, ma się tę alternatywę. Albo powie się: jestem czarny. Na to oni: to ruszaj do czarnych. Albo powie się: jestem biały, wtedy się cieszą, robią, co mogą, ale nic darmo, trzeba się stać niejako jednością z nimi, przejść do ich partyi, podzielać ich dążenia, pomagać w planach, wziąć na siebie pewne obowiązki. Kto się do niczego mieszać nie chce, żadnej chorągwi nie wywiesi, ten uchodzi za egoistę, za człowieka mającego tylko własny interes na oku, albo za człowieka *sans consequence*, bez znaczenia i wpływu, którego się zupełnie ignoruje.“

Wojna między demokracją a arystokracją, czyli dynastją, na które to stronnictwa emigracja się dzieliła, w roku 1842 już była zwalniana, ponieważ umysły były zajęte dwiema nowemi partyami t. j. Towiańskiego i Rybińskiego. Towiański dążył do reorganizacyi zupełnej, od samych podstaw począwszy, nie tylko Polski,

ale całego świata pod względem socyalnym, politycznym i moralnym. Rybińskiemu przypomniało się, że przez kilka dni był naczelnym wodzem, że doprowadził wojsko polskie do granicy pruskiej, a ponieważ na tym jego czynie powstanie się skończyło i nie obrano żadnego innego wodza, uważał siebie za głowę narodu. Zebrał więc partycję koło siebie, wydał proklamacyę do emigrantów we Francyi i Anglii, tworzył nową armię, rozdawał ordery i rozkazy, słowem bawił się w naczelnego wodza.

Wśród takich warunków nie można się dziwić, że Marceli Motty, który przyjechał do Paryża, nie aby się bawić w politykę, lecz aby się uczyć, patrzeć, zbierać, czuł się obcym w kołach wychodźstwa. Nie stroniąc więc od emigracyi, nie zasymilował się z nią i szedł swoim własnym torem. Ale to samo robili także i inni wówczas w Paryżu mieszkający Polacy n. p. Chopin cofnął się prawie zupełnie od towarzystwa polskiego i bardzo mało się z niem znosił. Z artystów odwiedził Marceli Norwida, którego nazywa *petit homme bossu avec une mine peu liante*, lecz znajomość skończyła się na pierwszej wizycie. Bliżej zapoznał się z braćmi Oleszczyńskimi, rzeźbiarzem i rytownikiem. Starszy, Aleksander, jest autorem dość rozpowszechnionój *étude academique*, przedstawiającej nagiego mężczyznę, piłującego drzewo; prócz tego wydał on *Wspomnienia o Polakach*, co słynęli w odległych i obcych krajach, część I (więcej nie wyszło) z 45 rycinami na stali. Paryż, 1843. Młodszy, Władysław, znany jest w Poznaniu jako twórca pomnika Mickiewicza przy kościele święto-marcińskim. Władysław ofiarował się zrobić medalion Marcelego, lecz nie wiemy, czy go wykonał. Zapoznawszy się z malarzem Bandurskim, wysłał jego obrazki do Poznania, chcąc przez sprzedaż ich pomódz początkującemu i w nieświetnych stosunkach żyjącemu artyście. Bandurski zrobił jego portret, który posłał do Poznania.

Poprzyjaźnił się także z Antonim Szymańskim z Warszawy. Szymański jako akademik poszedł do powstania i służył w piątym pułku strzelców. Przyjechał-

szy do Francji, dokończył studyów prawniczych w Marsylii i Paryżu i objął urząd w prefekturze policyi. Czas wolny od urzędowania poświęcał studjom historycznym. Marceli Motty nazywa go zacnym, rozsądnym, w historii i prawie polskiem biegłym i jako takiego polecił Poplińskiemu do „Orędownika“. Szymański ożenił się później z Irlandką i przed kilku laty odwiedził swego paryskiego przyjaciela w Poznaniu, jadąc do Galicyi, gdzie zamyslał przepędzić ostatnie lata swego życia. Przez Szymańskiego został wprowadzony do domu z Tańskich Hoffmanowej. Znał ją zapewne już poprzednio z opowiadania, ponieważ, uchodząc w roku 1831 z Warszawy, bawiła dłuższy czas w Księstwie i myślała nawet o założeniu pensyi żeńskiej w Poznaniu. „Pani Hoffmann au phisique jest mała, garbata osóbką, która dawniej mogła być nawet ładna, teraz zaś jest jeszcze niewymownie zajmująca i łagodna; w rozmowie z nią i w jej towarzystwie okazuje się od razu też sama przyjemność i łagodność, też sama szczerść i otwartość czystego serca, która znamionuje jej pisma. Jest to w istocie wzór dobrej Polki, cała piękna strona kobiecości bez jej słabości i przywar. Każdy, kto tę osobę choć raz tylko zobaczy, choć się z nią choć w krótką wda rozmowę, musi ją zaraz polubić i uszanować, bo wszystkie zalety patrzą jej niejako z ócz, tętnią w każdym jej słowie.“ Marceli polubił dom Hoffmannów, w którym się zbierało co czwartek dobrane towarzystwo.

Słowackiego poznał w restauracyi klubu polskiego za pośrednictwem Teodora Morawskiego i po sześciu latach odnowił z nim znajomość w Poznaniu. Bywał także u dr. Raciborskiego, cieszącego się w Paryżu dość znaczną praktyką lekarską, u paleografa Jastrzębskiego, kapitana Tańskiego, współredaktora „Journal des Débats“, u autora Wernyhory Michała Czajkowskiego, Ordegi i wielu innych. Nieraz pośredniczył między literatami paryskimi a Poplińskim jako redaktorem „Orędownika“.

Raczej przypadkiem niż umyślnie zajął Marceli Motty nieprzyjazne stanowisko względem towianizmu, a tem samem i Mickiewicza. Rok 1842, w którym przybył do Paryża, był chwilą największego rozkwitu mes-

syizmu. W Księstwie wtedy o Towiańskim głucho i nie pewne krążyły wieści. Dla tego, kiedy w kilka dni po przyjeździe Marcelego do Paryża, Mickiewicz zaprosił wszystkich rodaków do swego mieszkania przy rue d'Amsterdam l. 44, w którym miał przemawiać Towiański, powodowany ciekawością, poszedł na to zebranie w towarzystwie Siegfrieda, Sokolnickiego, Galicyanina Kunaszowskiego i Kalinkowskiego z Królestwa. Przebieg tego zebrania opowiada Marcele Motty w następujący sposób:

„Już w mieszkaniu Mickiewicza upatrywali Towiańscy przepowiednią, znajdując w nazwie ulicy wyrazy *dam ster dam* i przypominając z improwizacji a imię jego *czterdzieści i cztery!* Wszedłszy na pierwsze piętro do dość dużego pokoju, zastaliśmy już liczne towarzystwo; zebrało się tam, ile sobie przypomnieć mogę, około czterdziestu osób, których naturalnie wtedy nie znałem. Wszyscy stali cicho; Mickiewicz chodził z miejsca na miejsce milcząc, lecz na twarzy jego widać było pewien niepokój. Krótko po nas weszła innemi drzwiami pani Mickiewiczowa, młoda wtenczas, wysmukła, widocznie nerwowo-rozdrażniona, a z nią jakaś niewielka, niepokazna osóbką; powiadano mi potem, że to panna Dejbel, Litwinka rodem. Wtedy ustawił nas Mickiewicz w dwa rzędy, na lewo i na prawo, tak iż między nami został wolny ganek; poczem, wstąpiwszy do przyległego pokoju, wrócił po chwili z człowiekiem średniego wzrostu i średniej tuszy, w długim brązowym surducie, do góry zapiętym, z białą wysoką chustką na szyi. Ubiór cały był bardzo świeży; postać i głowa z siwiejącym włosem robiły wrażenie postaci i głowy poważnego i łagodnego księdza i przyznać muszę, iż miały w sobie coś miłego i uszanowanie wzbudzającego. Tak nam się przedstawił pan Andrzej Towiański.“

„Staął tyłem do okien, pomiędzy naszemi dwoma rzędami, i zaczął prawić. Miał głos dźwięczny i działający na nerwy, talent wykładu oratorskiego; mówił spokojnie i cicho, lecz czasami głośniej, coraz głośniej, tak iż wreszcie krzyczał niemal, poczerwieniał na twarzy i machał rękami. Płynęło wszystko gładko i bez przerwy

z ust jego, ale, słuchając go z nateżeniem, spostrzegłem, że, uwikławszy się w zdaniu jakim, nie kończył go, przeskakując do innego bez przerwania toku.“

„Co do rzeczy zaś, o których prawił, tego w całości nie skleję. Były to, ile pamiętam, jakieś dziwne fantazyje religijne, filozoficzne, historyczne, o nieustannem i bezpośredniem działaniu Boga na świat, o kolumnach białych i czarnych duchów, które, ciążąc niewidzialnie na ludziach, ciągną ich bezwiednie do dobrego lub złego i które modlitwą zbliżyć do siebie lub oddalić trzeba; dalej o przeznaczeniu narodu żydowskiego, francuskiego i polskiego, które zbawić mają ludzkość i doprowadzić ją do jedności i doskonałości w wierze i duchu. Szczególnie naród polski, który najwięcej wycierpiał, będzie owym wybranym przodownikiem, jeżeli pójdzie za głosem mistrza, którego Bóg zesłał, aby go rozbudzić i poprowadzić drogą przeznaczeń.“

„Te, ile pamiętam, główne myśli tonęły w nawale niejasnych, mistycznych, poetycznych i zagmatwanych sentencji i obrazów; dość, że przy końcu byłem tem wszystkim jak oszołomiony, zwłaszcza że koło mnie dziwne działy się rzeczy. Mickiewicz, który tuż przy mistrzu, jak go potem nazywano, stał wyprężony z założonemi na tył rękami, głową do góry podniesioną, wzdychał głęboko i głośno; większa część przytomnych była przejętą silnem wzruszeniem lub zapałem; doktor Bońkowski płakał jak dziecko, Kołysko, wielki pan litewski i jeden z dawniejszych lwów warszawskich, zemdlał zupełnie, a wreszcie pani Mickiewiczowa i panna Dejbek padły do nóg Towiańskiego, jęcząc i łzami zalane.“

Scena ta dziwne wrażenie zrobiła na Marcelim Mottym. Nie mógł pojąć szału i zachwytu, jaki ogarnął zgromadzonych po przemowie Towiańskiego. Mimowoli pytał się siebie, kto tu jest przy zdrowych zmysłach, a kto postradał rozum: czy ci, którzy korzyli się przed fantazyjami litewskiego proroka, czy on, który widział w tem wszystkim objawy chorobliwego umysłu. Skeptycyzm jego podzielał tylko jeden z towarzyszków t. j. Sokolnicki. Trzej inni zrazu milczeli, niebawem jednakże zaciągnęli się w szeregi Towiań-

szczyków. Pisząc w kilka dni potem list do Macieja Mielżyńskiego (nie do rodziców, jak czytamy w Przechadzkach po mieście, tom III), zdał sprawę z wrażenia, jakie na nim zrobił Towiański. Powtórzmy tu jego charakterystykę Towiańskiego jako ważny dokument współczesnego i naocznego świadka.

„Pytasz się mnie o Towiańskiego? Jestże to jeden z tych mężów, których Opatrzność zsyła narodowi w wielkich epokach miłosierdzia swego? Nie wiem. Jestli on narzędziem urojonej myśli, która go całkiem opanowała? To mi się zdaje do prawdy najpodobniejsze. Bądź jak chcesz, to pewna, iż Towiański dopiero przed kilku miesiącami zaczął nauczać, a pełno już w Paryżu wieści jak najrozmaitszych i powiastek o nim i jego adeptach. Każdy sądzi i mówi o nim podług stronnictwa, do którego należy: ja Ci bezstronnie w kilku słowach wyluszcze jego zasadę, widziałem go bowiem raz i słyszałem, znam się z kilku uczniami jego, a stojąc na zewnątrz wszystkich partyi tutejszych, nie będąc człowiekiem exaltacji, patrzę się z zimną rozważą na wszystko. Towiański jest w rzeczy samej zjawiskiem nadzwyczajnem, wywiera wpływ magiczny na tych, co go otaczają. Jakoby miał być posłannikiem rosyjskim, jest to powiastka, jakich dużo natworzono w emigracyi. Thiers sam, który go widział, powiedział o nim: „Certainement ce n'est pas un agent russe; c'est un homme très distingué, il a fait une grande impression sur moi, mais je crois, que c'est tout simplement du patriotisme maladif“. Lecz Thiers nie mógł go, zdaje się, zupełnie trafnie osądzić, nie znając ducha narodu, jego moralnego usposobienia i stosunków różnorodnych, w których się znajduje“.

„Osoba Towiańskiego jest poważna i miła, mówi szybko i płynnie i z niezmiennym zapałem, przechodzącym częstokroć wszelką miarę i wszelką granicę. Pociągnął swemi słowy i swoją nauką wielką liczbę ludzi znakomitych najróżniejszych stronnictw, wyznań i opinii, osobliwie ludzi uczuciowych; zasadą bowiem jego w postępowaniu na zewnątrz jest działać na uczucie, nie na rozum i rozbudzać egzaltacją. Wszystkich, którzy się koło niego skupili, tak silnie umiał

natchnąć, tak zapalić życiem uczuciowem, tak przywiązać ich serca i umysły do siebie, iż w osobie jego widzą bezpośrednio posłannika boskiego. On sam mieni się takowym, wysłanym z rozkazu Boga na zbawienie Polski, a przez Polskę ludzkości. Celem tedy jego nauk i usiłowań jest uwolnienie Polski za wolą Boga, za pomocą Jezusa i za pośrednictwem Panny Maryi, a przez Polaków, którzy są narodem wybranym, wyswobodzenie ludzkości z nieszczęść na niej ciążących, rozszerzenie religii katolickiej, zmodyfikowanej i oczyszczonej z dążeń ziemskich i nieprawych, zniszczenie egoizmu przez miłość i braterstwo wzajemne między ludźmi. Za główną siłę działającą uważa ducha, to jest uczucie w egzaltacji, rozumowi podrzędne miejsce nadaje, za pierwszy warunek działania kładzie jak najściślejsze złączenie się wszystkich przez miłość, zaparcie się własnej osobistości i wszelkich rozumowań i wiarę zupełną w Boga, religią i jego posłannictwo i osobę.“

„Rozkaz ministeryalny, który go z Francji wygnał, wstrzymał szerzenie się jego nauki, mogącój w teraźniejszych stosunkach emigracji wpływ wyrzucić niepośledni. Jest to bowiem element, w którymby się emigracja złączyć mogła (na co się jednakże bynajmniej nie zanosi), jest w nim wszakże dążność wszystkich partii niejako zidealizowana. Demokracja widzi się w nim podniesioną do miłości chrześcijańskiej i ogólnego braterstwa; arystokracja widzi zgodę zupełną z poddaniem się bezwarunkowem władzy najwyższej, która czczoną jest prawie w osobie mistrza (tak go zowią uczniowie); stronnictwa religijne widzą religią wystawioną jako motywum i jako cel ostatni, a wszyscy razem oswobodzenie Polski jako pierwszy krok do uszczęśliwienia ludzkości.“

„Towiański wzbudza w swych uczniach poświęcenie zupełne, całkowite wyrzeczenie się samych siebie za rozkazem jego na dobro sprawy, egzaltacją, nawet fanatyzm, a wreszcie wiarę i ufność bez granic w każde jego słowa, ale zarazem lekceważenie rozumu, mistycyzm ekscentryczny, niezrozumiałość, czasem kompletną w mowie i wyjawieniu swych myśli.“

„Przyznać trzeba, iż fanatyzm religijno-narodowy, wsparty zasadami miłości i braterstwa, działać może najskuteczniej na naród uciśniony, żyjący po większej części w niewoli, wierzący ślepo w słowa i formy religii, prócz tego nauka Towiańskiego przyciąga nawet żydów na stronę Polski, wystawiając Polaków jako naród równie wybrany i prześladowany jak lud Izraela, jako naród mający wyrwać żydów z ucisku, pod którym jęczą i podnieść ich do wysokości wszystkich ludów. Jeden rodem z Litwy został niedawno zaciętym stronnikiem Towiańskiego, który ma dar podciągania wszystkich wyznań pod formę swego katolicyzmu. O ile bowiem miarkować mogę z tego, co słyszę, przy uczciwości i fanatyzmie nie brak mu taktu i zgrabności zastosowania swój nauki i modyfikowania jej podług inteligencji słuchacza, oraz ujmowania sobie najróżniejszych usposobień, w czem mu znaczną jest pomocą równie jak i w działaniu na uczucie język poetyczno-mistyczny, pełen wyrażeń i metafer religijnych.“

Powyższa charakterystyka Towiańskiego, poważna i bezstronna, z prywatnego listu dostała się bez woli Marcelego Mottego do „Orędownika“. Popliński oddrukował ją w nr. 42 swego pisma na rok 1842. Zrobiła ona w Księstwie wielkie wrażenie, lecz nie mniej poruszyła umysły Towiańszczyków w samym Paryżu. Przeciwno treści artykułu stronnictwo Towiańskiego nic nie mogło mieć i nie miało do zarzucenia, chyba przykre mogło mu być skeptyczne stanowisko autora. Tymczasem redakcja dodała od siebie na końcu rozstawnemi czcionkami wydrukowane wyrazy: a e g r i s o m n i a.

Ten dodatek uraził Towiańszczyków. Na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego, na którym także Marceli Motty był obecny, czytano ów artykuł. Morawski, Zamojski i inni oświadczyli, że znają autora. Przykrem to było dla Marcelego Mottego, bo przy pokojowym swem usposobieniu już wtedy wyznawał zasadę, że przekonania religijne i polityczne wypada w każdej jednostce uszanować. Z tego powodu wyraził swe niezadowolenie Poplińskiemu, zwłaszcza że między stronnikami Towiańskiego znał bardzo wielu godnych i po-

ważnych ludzi, którym dodatek a egri somnia nie mógł być obojętnym.

Nieszczęsne a egri somnia nie odstrychnęło jednak od niego Towiańszczyków, z którymi się zaprzyjaźnił. Nawet tak gorliwy zwolennik towianizmu, jak Marszewski, nie odwrócił się od niego. W dwa lata potem donosił mu już do Poznania o postępach towianizmu. Przytoczymy wyjątek z tego listu, który może zarazem służyć za dowód głębokiej wiary w Towiańskiego.

„Dwa lata upłynęły, jakeśmy się ostatnią razą ze sobą widzieli, wiele rzeczy przybrało odtąd inną postać, my zaś stoimy jak mur pod sztandarem Chrystusa Pana i, chociaż wewnętrznie przekształciliśmy się zupełnie, to na zewnątrz tego jeszcze nie pokazaliśmy i świat tego nie widzi, jak dojrzewamy, za to też i czyn będzie niespodziany. Miło mi choć tem pismem pocieszyć Cię, uściskać i pozdrowić w Chrystusie Panu i tak, jak nasz chłopiec mówi, tak też i ja wołam do Ciebie: pokój Chrystusa niech będzie z Tobą. Powtarzam Ci, iż dojrzewamy i czas żniwa nadchodzi i zbliża się ta chwila, gdzie będziemy Cię mogli rzeczywiście o tem przekonać, a chwila ta nie jest zbyt odległą i wszystko to, cośmy Ci kiedyś na obcej ziemi mówili przez nasze słabe organa, a czemu Ty wiary nie dawałeś, o tem teraz za łaską Bożą będziemy mogli praktycznie na własnym gruncie Cię przekonać i Twój rozum zmysłowy ugiąć się musi przed tą prawdą odwieczną. Nasz patriarcha Mickiewicz zawiesił na jakiś czas swoje kursa i podał się o urlop do ministra, co też uzyskał, gdyż, jak sam powiedział, już wszystko, co było potrzebnem, ogłosił i już dalej na samych słowach poprzestać nie możemy. Miarkujesz teraz zapewne, jakie jest nasze powołanie. Wszystkie formy ziemskie już zostały spełnione. Nasamprzód Słowo Boże było ogłoszone w kościele katedralnym w Paryżu, potem to samo było powtórzone w uniwersytecie najpierwszym na globie ziemskim, gdzie kilkudziesięciu dało świadectwo tej prawdzie przed Bogiem i ludźmi tamże obecnymi, następnie toż samo wezwanie było złożone u stóp Papieża w stolicy apostolskiej. Nie

sądź więc teraz, żeby to wszystko było czczem marzeniem (może aluzya do aegri somnia). Oj! uchowaj Boże! zaprawdę Ci powiadam, że, gdyby mi było dozwolone w tej chwili oddać Ci to, jak jest rzeczywiście, tobyś padł jak długi i, skoroby Cię wszystkie zmysły odstąpiły, tobyś dopiero ujrzał promień łaski oświecającej Ciebie całego. Wiem, że Cię tam nic nie mogło wesprzeć na naszej drodze, gdyż my nic nie piszemy, kiedy wszystkie pisma emigracyjne są przeciwko nam i błotem starają się nas kalać. Panie odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią. Są to wszystko widzimisia, które nakręcają według swojej namiętności i nie chcą wiedzieć, że ich rozumy są niewystarczające, a niechcąc się poprawić, upornie obstają przy swoim błocie i stawiają swoje kiepskie ja przeciw odwiecznej prawdzie, co jest największą obrazą Majestatu Bożego i przyczyną opłakanego ich stanu. Niepodobna Ci o tem pisać, Ty sam to czujesz, jak tylko zajrzysz do tajników wnętrza swego“.

Te słowa pisał Marszewski w dwa lata po wystąpieniu Towiańskiego. Ale nie od rzeczy będzie tu dodać, że kiedy prof. Antoni Małecki (od którego mamy tę wiadomość) w r. 1867 ogłosił drugi tom swego dzieła o Słowackim, w którym mówi o ujemnym wpływie Towiańskiego na poetów naszych, otrzymał z tego powodu od jakiegoś spóźnionego Towiańszczyka bezimienny list z pogrozkami.

Z Mickiewiczem Marceli Motty się zapoznał, ale nie zbliżył się do niego. W r. 1842 Mickiewicz zupełnie był oddany sprawie Towiańskiego i przyjmował u siebie tylko jego zwolenników. W ogólności osobistość jego nie budziła w tym czasie w ludziach stojących poza towiańszczyzną tego zapału, co poprzednio. Twórczość jego ustała, a wykłady w Collège de France osłabły tak co do treści, jak co do formy. Marceli Motty widywał na wykładach o literaturze słowiańskiej samych Polaków, którzy profesorowi zostali wierni, francuscy słuchacze już się byli cofnęli. Mickiewicz opuszczał często wykłady, a przejęty treścią zaniedbywał francuskie wysłownienie. Marceli Motty pisał jego wykłady i odnośny zeszyt przesłał przez Jędrzeja Mora-

czewskiego do Poznania szwagrowi swemu, Cegielskiemu. Skrypt ten, któryby mógł posłużyć do rekonstrukcyi wykładów Mickiewicza, nie zachował się. Cegielski prosił go, aby pozbierał wiadomości o Mickiewiczu, jako niezbędne do zrozumienia jego dzieł, zwłaszcza Balad i Sonetów. Czy Marceli Motty uczynił zadość téj prośbie, nie wiemy.

Wśród takich zajęć minął rok przeznaczony na pobyt w Paryżu. Wracając do kraju, wiele ludzi widziawszy i poznawszy ich sposób myślenia. Marceli Motty nie stracił przez ten rok nic ze swego idealizmu, który przeszedł zwycięską próbę i w tym czasie raczej się w nim spotęgował. Wyjeżdżając z Paryża, przyznawał, że więcej się może cieszy na powrót do Poznania, niż się cieszył na wyjazd. Przyczyną téj radości nie tylko była nadzieja rychłego uściśnienia rodziców i rodzeństwa, jak raczej chęć do pracy, potrzeba działania.

Widoki, jakie się przed nim otwierały, nie były świetne. Wielkie Księstwo Poznańskie miało wówczas, prócz dwóch gimnazyów w stolicy, jeszcze tylko gimnazjum w Lesznie i Bydgoszczy i progimnazjum w Trzemesznie.

Zanosiło się na otworzenie nowego gimnazjum w Ostrowie, jednakże otwarcie jego nastąpiło dopiero w roku 1845, układy zaś z miastem o realną szkołę przeciągały się w nieskończoność. Napływ sił nauczycielskich w stosunku do tak małego zapotrzebowania był bardzo znaczny. Z kolegów jego uniwersyteckich Cegielski utrzymał się w Poznaniu, ale nie miał jeszcze stałej posady, Cybulski nie przyszedł wcale do Księstwa, lecz habilitował się dla języków słowiańskich w Berlinie, Milewski myślał o habilitacyi w Bonn. Na razie, ponieważ w chwili jego wyjazdu z Paryża nie było wolnej posady, miał być zatrudniony przy gimnazjum w Poznaniu i być współpracownikiem „Gazety Wielkiego Księstwa Poznańskiego“, będącej pod redakcją prof. Wąnowskiego. Jako współpracownik, z pensją 10 talarów miesięcznie, miał tłumaczyć dwie strony dziennie in quarto. Jadąc w jarzmo chciał jeszcze po drodze zwiedzić Havre i południową Francją i wrócić przez Szwajcaryą, Mona-

chium, Drezno, Lipsk i Berlin. Około 1 czerwca 1843 stanął w Poznaniu.

Stosunki ułożyły się nieco inaczej, aniżeli przewidywano. Po powrocie uczył przez krótki czas w zastępstwie w gimnazyum Fryderyka Wilhelma. W październiku zaś tegoż roku przydzielony został jako nauczyciel pomocniczy do gimnazyum św. Maryi Magdaleny. Równocześnie odsługiwał przy 19 pułku wojskowość i w mundurze wojskowym udzielał lekcyi w gimnazyum. W listach do rodziców pisanych z Paryża często wypowiadał życzenie, że chciałby pozyskać jaką taką posadę i rychło się ożenić. Pierwsza część tego życzenia się spełniła, spełnienie zaś drugiej nie byłoby także pozwoliło długo na siebie czekać, gdyby nadzwyczajny wypadek nie był przerwał jego karyery.

Przygotowywane przez centralizacyą wersalską powstanie, którego wybuch wyznaczono na 21 lutego 1846 r., nie przyszło do skutku w skutek aresztowania Mierosławskiego. Pomimo tego spiskowcy w Poznaniu postanowili w nocy z 3 na 4 marca uderzyć na cytadelę. Zamach się nie udał, ponieważ policya poznańska na kilka godzin przedtem dowiedziała się o tym zamiarze. Leśniczy Trąpczyński, który z Kórnika przyprowadził 60 ludzi, zastał most chwaliszewski osaczony wojskiem: Paternowski padł na miejscu, Trąpczyński i dwóch innych zostało ciężko rannych, a więzienia napełniły się jeńcami.

Ponieważ przypuszczano, że w zamachu tym wzięli także udział uczniowie gimnazyalni, nakazała rada szkolna gronu nauczycielskiemu, aby urządziło poszukiwania broni po prywatnych mieszkaniach uczniów. Po dwóch nauczycieli, jeden Polak i jeden Niemiec, miało w wyznaczonej dzielnicy miasta odbyć rewizyą. Wtedy oświadczyło czterech nauczycieli Polaków, że rozkazu tego nie usłuchają, ponieważ uważają za rzecz niegodną swego stanowiska występować w roli policyi. Byli to Cegielski, Motty, Gruszczyński i Bronikowski. Trzech ostatnich, ponieważ byli tylko nauczycielami pomocniczymi, usunięto natychmiast z urzędu. Cegielskiemu, który wtedy już był etatowym, wytoczono proces o nieposłuszeństwo władzy i także dano dymisyą.

Ofiarą tego zajścia padł prócz tego ówczesny dyrektor gimnazjum ks. dr. Prabucki, który został stawiony do dyspozycji.

W wydanej w Sprawozdaniu gimnazyalnem na rok 1847/48 historyi gimnazjum przez Schwemińskiego wypadek ten jest przedstawiony w następujący sposób: „Die bekannten politischen Verhältnisse im Frühjahre des Jahres 1846 machten es nämlich nothwendig die Schüler schon am 6 März zu den Osterferien zu entlassen. Am 28 April erschien eine Bekanntmachung des königlichen Oberpräsidiums, dass in Folge der Kabinettsordre vom 18 April das Mariengymnasium in seiner bisherigen Gestalt aufgelöst sei, seine Wiedereröffnung in einer zweckmässigeren Einrichtung jedoch in kurzem erfolgen wird. Als Grund dieser Massregel wird in der Bekanntmachung vom 5 Mai angegeben, dass nicht bloss einzelne Schüler desselben sich bei den politischen Umtrieben betheiligt hätten, sondern auch ein dringender Verdacht vorhanden sei, dass unter den Schülern dieses Gymnasiums hochverrätherische Bestrebungen und Verbindungen bestanden hätten, ausserdem aber bei dieser Anstalt ein hoher Grad von Indisciplin sich ergeben habe.“

Mianowany intermistycznie dyrektorem radzca szkolny dr. Brettner otworzył na nowo gimnazjum 11 maja ze zreorganizowanym gronem nauczycielskiem, w którym nie było wymienionych czterech ofiar. Dotknięci kasatą profesorowie poszukali sobie innego zajęcia. Cegielski pojechał do Berlina i, wyuczywszy się w pół roku kupiectwa, założył sklep żelaza, Bronikowski został gospodarzem i wziął wieś w dzierżawę, Gruszczyński umieścił się jako nauczyciel domowy.

Wyparty siłą faktów z uczonego zawodu Marceli Motty postanowił zostać leśnikiem. Przymusowe opuszczenie sztandaru w kilka lat po ukończeniu studyów ma w sobie coś tragicznego. Wykolejenie takie wymaga nowego nakładu woli, wymaga przerobienia usposobienia, co dla Marcelego Mottego było tem trudniejszym, że liczył wtedy już 28 lat życia. Stłumić w sobie interes dla języka, literatury i sztuki, a wyrobić interes dla sosien, buków, karczowisk, owadów, wyrębów, polo-

wania, zwłaszcza jemu, wychowanemu w atmosferze naukowej, było bez wątpienia bardzo trudnem. My, którzy znaleźmy Marcelego Mottego, nie możemy go sobie wyobrazić w długich butach, w lesie, robiącego pomiary, albo czekającego z fuzyą na zwierzynę. Interes dla leśnictwa był u niego wyrozumowany, był to drugi pokład umysłowy, do którego gwałtem przedzierało się uczucie pierwszego. Mielśmy sposobność słyszeć opowiadanie o jego pierwszym debiucie na polowaniu. Świeżo kreowany leśnik strzelił do sarny. Piękny ten zwierz przed zgonem rzucił wzrok pełen wyrzutów na sprawcę swego losu: Marceli Motty rzucił fuzyą i uciekł z łowów.

W listach jego pisanych z czasów karyery leśniczój nie możemy się dopatrzeć wielkiego interesu dla nowego zawodu. Czasem tchną one szalonym humorem. Pozwolimy sobie przytoczyć ustęp z jego listu do Cegielskiego, pisanego w końcu drugiego roku jego leśnego zawodu. Eksidealista pisze do eksidealisty, że l a z n e g o szwagra, parodując nowe obu zawody. „Trzęsie się podobno Twoje żelazne serce od gniewu, a stalowe wnętrzości Twoje gną się i drgają, sieczkarnia Twego mózgu stanęła z oburzenia, łańcuchy Twojej cierpliwości pękły, szufle rąk Twoich machają z wściekłością, zakrzywił się hak nosa Twego, rozwarły się drzwiczki Twych uszu, opadły klamki ust Twoich, gwoździe zębów się ostrzą, pilnik języka skrzypi, nadymają się miechy płuc, nawet się szrutownia brzucha rozstroiła, słowem cały metal Twój tkwiącej w przestrzeni światowego podścieliska osobistości chce mnie przygnieść, przywalić, skruszyć i zetrzeć za to, że do Ciebie nie pisałem..... Mea culpa, prawda, ale wiesz przecie, żelazny człowiecze, z dawniejszych czasów, że chociaż mój umysł i moje afekta wysokopienna, to skwapliwość moja do listów bardzo niskopienna, że prędzej pod wiatr pognasz naganke, prędzej kuropatwa na drzewie usiedzie, prędzej się bekasy zagnieżdżą na drzewie, a sokoły w błocie, prędzej zając charta wygryzie, aniżeli leśna prawica moja schwycić zdoła za pióro, aby w kształcie listu sunąć pctokiem miodopłynnych wyrazów i uczuć. I cóżbym mógł pisać do Ciebie, choćbym się nawet ze

szczytu stuletnich świerków i buków, z wyżyny dębowych konarów, opuszczając niebotyczne sfery, zniżył aż w głąb ciemnych i dusznych kopalń, zabłoconych sklepów, zaśniedziałych remiz, w których Ty, siedząc jak jaźwiec w norze, pazurami wydrapujesz zardzewiałe żelazo. Niezrozumiałbyś może, pozioma istoto, choćbym Ci nawet chciał udzielić brzemię swych myśli co do kolei (ale nie żelaznej) przyrostu rębu, podrębu, wyrębu, zrębu i zarębu, co do trzebieszy, siania, sadzenia, zasadzania, nasadzania, podsadzania i wysadzania — są to wszystko rzeczy, których młynek rozumu Twego nie zmele, którebyś napróżno Twoim siewnikiem w twardy łeb sobie zasiewał. Zresztą moje życie jak najnormalniej nudne, wstaję, idę do szkoły, jem, idę do szkoły, wracam, piję herbatę, uczę się matematyki, taksacyi, serwitutów i reskryptów, o pół do dwunastej czytam gazetę kolońską, a błogosławiąc Guizota, gaszę o dwunastej lampę i śpię jak bobak do siódmej....“

Co właściwie Marcelego Mottego spowodowało do wybrania sobie leśnictwa, dokładnie nie wiemy. Zdaje się, że uległ prądowi ogólnie wtedy panującemu w Księstwie. Marcinkowski, Mielżyński, Działyński i wielu innych ludzi dobrej woli głosili konieczność ekonomicznego odrodzenia. W myśl tej zasady Marcinkowski wybudował Bazar, sprowadzał i wspierał kupców i przemysłowców polskich, Chłapowski i Mielżyński pracowali nad poprawą gospodarstwa wiejskiego. Działyński nosił się z zamiarem stworzenia szkoły lasowej w Kórniku, która to miejscowość dla wielkich lasów, należących do dóbr kórnickich, szczególnie się do tego celu nadawała. Zdaje się, że on to głównie pchnął Marcelego Mottego na drogę studyów leśnych, chcąc w nim mieć kierownika przyszłej tego rodzaju szkoły. Prócz tego zamierzał mu oddać zarząd lasów kórnickich.

Praktycznie uczył się Marcelli Motty leśnictwa w lasach rządowych między Murowaną Gośliną a Rogoźnem, w rewirze Zielonka, przezwanym obecnie Eckstelle. W leśnictwie tem znajduje się cudowny parów w bliskości Boguniewa, do którego często wracał swemi wspomnieniami. Po rocznej praktyce udał się

do akademii lasowej w Neustadt-Eberswalde pod Berlinem, gdzie przebywał aż do początku roku 1848.

Studia w Eberswaldzie, które zamierzał uzupełnić w akademii lasowej w Tarancie, przerwały wypadki marcowe r. 1848. Pomimo swój woli i wbrew usposobieniu został Marcełi Motty wciągnięty w ruch rewolucyjny. Skoro wieść o wypadkach berlińskich dostała się do spokojnego Eberswalde, wyruszył natychmiast do Berlina, niespokojny o młodszego brata Stanisława, który tamże słuchał prawa. Było to 19 marca. Tego samego dnia poszedł z bratem wieczorem na zebranie, zwołane przez jednego z Polaków. Na tem zebraniu uchwalono wysłać do króla petycją o uwolnienie z Moabitu Polaków, więzionych za wypadki r. 1846. Petycją ułożono na miejscu i tego samego dnia późnym wieczorem wręczono w zamku królewskim. Deputacya, która zawiozła petycją, składała się z Wojciecha Cybulskiego, żyda poznańskiego dr. Remaka, docenta medycyny, i Marcelego Mottego. Deputacya nie została przyjętą, a petycją odebrał książę Wilhelm Radziwiłł. Nazajutrz więźniowie zostali wypuszczeni z Moabitu.

Bezpośrednio potem przyjechał do Poznania i zastał w mieście rodzinnem serdeczne bratanie się żywiołu polskiego z niemieckim, gotujących się do wspólnej wyprawy przeciwko Rosyi. Zbierające się wojsko miało tworzyć przednią straż téj wyprawy. Krótko przed potyczką miłosławską został wysłany za wspólnem porozumieniem klubu polskiego i komitetu narodowego wraz z Leonem Szumanem i Griesingerem w deputacyi do Miłosławia, aby spowodować Mirosławskiego do unikania zbrojnego starcia i odczekania układów. Poselstwo to, jak wiadomo, nie nie wskórało, bo w kilka dni potem nastąpiła katastrofa pod Miłosławiem.

Kiedy Marcełi Motty przyjechał z Eberswalde na Wielkanoc roku rewolucyjnego do Poznania, dwa dni przedtem Hipolit Cegielski zaczął wydawać „Gazetę Polską“. Była to pierwsza kreacya konstytucyjna, a więc niecenzurowana. Cegielski spieszył się skorzystać z wywalczonój co dopiero wolności prasy i rozpoczął wydawnictwo „Gazety Polskiej“ bez wszelkich przygo-

towań. Przez pierwsze tygodnie nie miało pismo zorganizowanej redakcji. Cegielski dla braku czasu zajmował się niem tylko dorywczo, zrazu pisał więc artykuły każdy, kto się właśnie nawinął. Drukarz Stefański, który się podjął druku, nie miał ani stosownych pras, ani czcionek, ani drukarzy. „Gazeta“ wychodziła z początku, ku wielkiemu zniecierpliwieniu ehciwych nowin czytelników, w rozmaitych porach dnia i nocy. Marceli Motty, który używał wtedy przymusowej niezależności, od razu wstąpił do redakcji razem z Antonim Rosem i ks. Prusinowskim. Od św. Michała objął na dobre redakcją, mając za współpracowników Feliksa Bentkowskiego i Ryszarda Berwińskiego.

„Gazeta Polska“ przetrwała dwa lata, do św. Jana r. 1850, lecz ponieważ tymczasem skończyła się niespodzianie niezależność Mottego, mógł do niej pisywać tylko bezimiennie. Redagował przez dłuższy czas przegląd polityczny pod tytułem: Francya. Tak samo brał udział w założonym przez Cegielskiego bezpośrednio po „Gazecie Polskiej“ „Gońcu“ i założonym w roku 1859 „Dzienniku Poznańskim“.

Po kilka razy zwracaliśmy uwagę na idealizm ciągnący się jako złota nić przewodnia przez życie Marceliego Mottego. Wykolejony siłą okoliczności mocniejszych od niego z zawodu, który całym sercem ukochał, w trzydziestym roku życia nie mając jeszcze stanowiska i patrząc w niepewną przyszłość, poszedł za głosem serca i pomyślał o zawarciu związku małżeńskiego. Wybór jego padł na osobę wyższego umysłu, równie jak on idealnie zapatrującą się na życie. Ta zgodność usposobień spowodowała porozumienie i pokonała wszelkie trudności. Przyszłą swoją żonę, Waleryą z Bukowieckich, poznał już podczas pobytu swego w Międzyrzeczu. Była ona córką majora Augusta Bukowieckiego, który odbył wszystkie wojny napoleońskie i po dwudziestopięcioletnim urzędowaniu jako starosta w Wyrzysku, zamieszkał częścią w Poznaniu, częścią w Gołońsku, wsi niedaleko Międzyrzecza. Nadzwyczajna bystrość i jasność umysłu, połączona z głęboką dobrocią i prawdziwie chrześcijańskim poczuciem miłosierdzia, były znamieniem charakteru Waleryi Bukowieckiej.

Marceli szczerze pokochał tę wzniosłą duszę, która mu się odwzajemniała serdecznem przywiązaniem. Pomimo że porozumienie nastąpiło zaraz po powrocie Marcelego z Paryża, kochająca się para długo czekać musiała na stosowną porę, aby stanąć na ślubnym kobiercu. Chwila ta nastąpiła w r. 1849. Ślub odbył się 29 maja tegoż roku w kościele św. Marcina w Poznaniu. Marceli Motty był wówczas redaktorem „Gazety Polskiej“.

Ogólna amnestya po wypadkach lat 1846—1848 przywróciła także na dawne posady dotkniętych dysmisyą profesorów gimnazyalnych, do czego w znacznej części się przyczyniły zabiegi Macieja Mielżyńskiego. Z niewielkim żalem zapewne porzucił Marceli Motty karierę leśniczą oraz pracę redaktorską i wrócił do Greków i Rzymian, do wykonywania szlachetnej sztuki dydaktycznej. Siódmego listopada r. 1849 rozpoczął na nowo zawód nauczycielski w gimnazyum św. Maryi Magdaleny. Nie świetnem było zrazu jego powodzenie materialne, skoro w tyle lat po ukończeniu studyów, już ożeniony, musiał się zadowolić posadą nauczyciela pomocniczego z płacą nawet jak na owe czasy bardzo szczupłą. Ale właśnie w tym czasie przejściowym żona była mu dźwignią moralną, pomagając mu swobodnem usposobieniem i wesołym humorem znosić tę dobę próby. Przejęła się znaną zasadą senatu rzymskiego *dziel i panuj* i zapanowała nad położeniem. *Dulcis est memoria praeteritorum malorum*, mówi rzymskie przysłowie. Pani Walerya nieraz z uśmiechem wspominała, jakie nadzieje przywiązywała do pierwszej etatowej pensyi mężowskiej w styczniu roku 1851 i jakiego zawodu doznała, kiedy mąż zamiast spodziewanego plus na razie minus przyniósł do domu, ponieważ kasa odciągnęła przy téj sposobności przynależną część na fundusz wdów i sierot.

Po wielu układach, które wlokły się około lat piętnastu, postanowiło miasto Poznań w r. 1853 otworzyć miejską szkołę realną. Do komisji, mającej się zająć wprowadzeniem jęj w życie, należał z polskich radnych miejskich Hipolit Cegielski. Za jego to głównie staraniem uwzględniono w téj szkole dostatecznie żywoł polski: połowę grona nauczycielskiego stanowili Polacy,

cztery niższe klasy miały osobne oddziały polskie, a i w wyższych połowy przedmiotów uczono po polsku. Do grona nauczycielskiego weszli z Polaków: Motty, Szafarkiewicz, Gładysz, Zaborowski, Studniarski, Köhler, Jaroczyński, przez kwartał znalazł tu także przytułek wypędzony wówczas bez podania powodu z Krakowa profesor uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Antoni Małecki. Dalsze losy urzędnicze Marcelego Mottego były odtąd stale związane z szkołą realną. Jako wynagrodzenie niejako za długie intermisticum w służbie rządowej otrzymał od razu pierwszą posadę między wyższymi nauczycielami. Uczył języka łacińskiego, francuskiego i historii, kochany i szanowany przez uczniów dwóch narodowości i trzech wyznań. Ten sam takt, jakim się odznaczał w pożyciu z dorosłymi, przeniósł na obcowanie z niedorosłymi. Często mówił żartobliwie, że względność jego dla uczniów rozmaitych wyznań stoi w odwrotnym stosunku do sympatii, jaką czuł dla tychże wyznań. Metoda, jaką się posługiwał, była metodą ogólnie w szkołach za jego czasów panującą. Mniej wykladał, więcej zadawał, nie oszczędzając w tym względzie młodzieży i uważając pamięć za główny wehikuł kształcenia. Ale to, co młodzieży podawał, odznaczało się rzadką jasnością i wielką trzeźwością myśli. Jakiegoś frazesu ku ozdobie rzeczy nie posłyszał od niego uczeń. Przez obejście towarzyskie, wytworne choć proste, wielką życzliwość dla uczącej się młodzieży, przez niezniżanie się do płytkiej drobiazgowości, która często obniża powagę stanowiska profesorskiego, przez traktowanie zawodu z wyższego punktu widzenia, otoczył się nimbusem rzetelnej powagi i czci, tak że uczeń nawet myślą nie śmiał jemu ubliżyć. Cześć ta drogą spadku przechodziła z ojców na synów.

Utrwaliwszy sobie stanowisko, wrócił Marcele Motty po dziesięcioletniej przerwie do swych dawniejszych studyów i zabrał się do przekładów poetów starożytnych na język polski. Zaczął od Wergiliusa. W roku 1852 przetłumaczył niejako na próbę jego eklogi. Po niestrawnych *Pasterkach* Jezuity Nagurczewskiego było to, o ile wiemy, pierwsze tłumaczenie sielanek mantuańskiego poety. Następnego roku wydał w Spra-

wozdaniu Gimn. św. M. Magdaleny Satyry Horacego, nad którymi zaczął pracować w Międzyrzeczu, w rok potem w Sprawozdaniu Szkoły realnej Listy Horacego.

Tłomaczenia te opierają się na jednej i téj samej zasadzie. Chodziło głównie tłumaczowi o to, aby, tłumacząc z jaknajściślejszą filologiczną wiernością, dać przekład, któryby był poniekąd polską kopią łacińskiego oryginału, nie wykraczając jednakże przeciw duchowi i właściwości języka polskiego. Tłumacz był tego zdania, że takie tłumaczenie da się w polskim języku łatwiej skutecznie, niż w wielu innych, dla tego, że język nasz szczyci się niezwykłą giętkością i dowolnością składni i przez kilka wieków kształcił się ściśle podług wzorów łacińskich. Celem ściślejszego zastosowania tekstu polskiego do łacińskiego, wiersz w tych przekładach użyty jest t. n. hexametr polski, stworzony przez Mickiewicza. Hexametr łaciński, przeniesiony na grunt polski, daje jednostajny rytm, bo składa się z samych daktyłów, a każda trzecia stopa musi być trochejem i mieć po sobie cesurę; różnaitość jest tylko możliwa w pierwszej stopie, która prócz daktylu może być spondejem resp. trochejem. Słowem hexametr polski staje się wierszem szesnastozgłoskowym, przeplatanym piętnastozgłoskowym ze stałą cesurą po ósmiej resp. siódmej zgłosce.

Tłomaczenia Wirgiliusza i Horacego zostały dobrze przyjęte przez krytykę, a zwłaszcza zadowolily filologów. Są one też właściwie ściśle filologiczne. Tłumacz musiał się łamać z wielkimi trudnościami, bo bądź co bądź, heksametr starożytny tylko sztuką daje się przenieść na grunt naszego języka. Przy swojej dokładnej znajomości języków starożytnych dał tłumaczenie poprawne, a wrodzony zmysł estetyczny, poparty obszernym zasobem słownikarskim w ojczystym języku, pomógł mu w niejednych trudnościami. Rzadko też ucieka się do wypełnienia nieodzownych luk stereotypem w z d y.

Lecz czy tłumaczenie takie czyta się łatwo, czy ono jest, jak mówimy pospolicie, poczytne? Aby z tego stanowiska ocenić przekłady Mottego, wypada nam się nieco bliżej przypatrzeć tłumaczeniom ze starożytniej

literatury w ogólności. *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.* Do tłumaczenia z literatury nowożytnej potrzebna jest, prócz odpowiedniej zdolności i kwalifikacji stylistycznej, gruntowna znajomość odnośnego obcego języka i ducha tegoż narodu. Dykcja nowożytnych języków, ich zasób słownikarski i sposób wyrażania myśli są tak zbliżone, że przekład tekstu nowożytnego nie sprawia wielkich trudności. Jako też tłumacze sądowi dochodzą do takiej wprawy, że, mając przed sobą tekst niemiecki, tłumaczą szybko i poprawnie, jakby czytali tekst polski. Inne zupełnie warunki zachodzą przy tłumaczeniu z języka łacińskiego i greckiego. Literatura starożytna jest nam bliska, bo przy podobieństwie kulturowych warunków starożytności i naszych czasów, zawiera myśli i uczucia dla nas zupełnie zrozumiałe. To, co literaturę starożytną dzieli od dzisiejszej, jest odrębność dykcji i właściwa starożytności erudycja. Przeciwnie naszemu przeważnie abstrakcyjnemu sposobowi wyrażania myśli stawia starożytność swoją konkretność, przechodzącą zwłaszcza w greckim języku w naiwną, nieraz prostotę. Brak abstrakcji odczuły z czasem same starożytne języki. To też Arystoteles wytworzył bardzo głęboką dykcją filozoficzną w języku greckim, a średnie wieki przekształciły głównie pod wpływem filozofii scholastycznej w ten sam sposób język łaciński. Utwory jednak literackie, które się zwykle tłumaczy na nowsze języki, mają jeszcze w całej pełni odrębną od naszej abstrakcji konkretną dykcją. Jeżeli ta różnica utrudnia niezmiernie tłumaczenie utworów starożytnej literatury, to szkopułem nie do przewyciężenia staje się erudycja starożytna. Pisarze i czytelnicy starożytni byli wszyscy kształceni w tej erudycji, czerpali swoją wiedzę z encyklopedyi siedmiu sztuk wyzwolonych. Dla nich literatura starożytna miała tę samą bezpośredniość, którą ma nowożytna literatura dla nowożytnych czytelników, my starożytną literaturę musimy studyować, my musimy w nią się wdzierać, nieraz nawet z trudem. Daleko mniej erudycji ma literatura grecka, za to wprost uczona jest literatura rzymska z czasów Augusta. Ztąd po-

chodzi, że daleko lepiej udają się przekłady z literatury greckiej, aniżeli łacińskiej. Siemieńskiego tłumaczenie Odysei jest daleko sympatyczniejsze, aniżeli jego przekład ód Horacego. Niejedna piękna oda Horacego wychodzi blado nawet z pod pióra tak dzielnego tłumacza, który potrzebuje dużo słów na oddanie zwięźle uchwyconych myśli rzymskiego poety.

Dla tych dwóch względów, ściśle biorąc, tłumaczenia ze starożytniej literatury są niemożliwe. Bo chociaż tłumacz pokona trudności dykcji, nie może opanować trudności następczających się z powodu erudycji starożytniej. Ponieważ jednak bez przekładów starożytniej literatury żadna nowsza literatura obejść się nie może, dla tego dwie drogi są możliwe: albo tłumacz daje przekład wierny, trzymając się oryginału co do erudycji i, ile możności, co do dykcji, albo daje tłumaczenie swobodne i zmodernizowane. Pierwszy przekład będzie ciężkim, ale zostaje przekładem, drugi lżejszym, poczytniejszym, ale przestaje właściwie być przekładem, a staje się interpretacją, trawestacją. Marceli Motty z całą świadomością wybrał pierwszą drogę. Jego przekłady nie są obliczone na ogół, lecz na filologów. Przez to nie stają się jednakże zbyteczne: o ile dobre tłumaczenie jest najlepszym komentarzem, o tyle zastępuje miejsce komentarza. Tłumacząc zaś w ten sposób, poszedł za tradycją, tem więcej, że między dawniejszymi literatami polskimi bardzo rozpowszechnione było wysokie mniemanie o giętkości polskiego języka. Nieraz w szkołach zdarzało się słyszeć, że język polski wszystko znosi. W siedemnastym wieku Komeński dowodził, że z języka łacińskiego można dosłownie tłumaczyć na polski, nie zmieniając szyku wyrazów i jako przykład tego zjawiska stawiał tłumaczenie Eneidy Wergiliusza Piotra Kochanowskiego. Nowsi tłumacze, starając się przekładom swym nadać większą poczytność, modernizują starożytnych autorów i zacierają w tłumaczeniach charakterystyczne znamię starożytności. Tych dwóch odrębnych stanowisk nie wypada mieszać przy ocenianiu tłumaczeń ze starożytniej literatury. Jeden z nowszych tłumaczyw Epistola ad Pisones, nie godząc się na sposób tłumaczenia Marcelego

Mottego, robi mu zarzut, że słowa wiersz. 64—65 *receptus terra Neptunus* przetłomaczył *Neptun* w ląd wpuszczony, dodając, że bez interpretacyi nikt się nie domyśli, co te słowa właściwie oznaczają, zapomina jednakże, że i tekst łaciński wymaga interpretacyi, a każde swobodniejsze tłumaczenie staje się interpretującym domysłem.

Lecz wróćmy do przerwane go opisu życia Marcelego Mottego. Po epoce walki nastąpił czas spokoju. Życie jego przybrało jednostajny charakter. Po za domem zajęty nauką w szkole realnej, w domu pracował nad wychowaniem pięciorga wiele obiecujących dzieci, oraz licznych pensyonarzy, których z pełnem zaufaniem powierzano jego opiece. Lecz nie na tem koniec jego działalności. Obok tych wszystkich zajęć, któreby całkowicie mogły wypełnić życie przeciętnego człowieka, udzielał lekcyi w żeńskim zakładzie wychowawczym i był przez wiele lat jego dyrektorem.

Zakład wychowawczo-naukowy, będący obecnie pod dyrekcją p. Anny Danysz, zawdzięcza swój początek pensyonatowi panien, który w pierwszej ćwierci tego wieku założyła babka Marcelego Mottego, Tekla Herwigowa. Po śmierci męża przeniosła się ze Skwierzyny do Poznania. Znajoma jej pani Wilczyńska powierzyła jej wychowanie trzech swoich wnuczek pp. Lipskich, późniejszych pp. Niezychowskiej, Bieczyńskiej i Radońskiej. To był związek szkoły, która obecnie obejmuje 7 klas, 10 lat nauki, oprócz klasy przygotowującej do rządowego egzaminu na nauczycielki i liczy około 250 uczennic. Za przykładem p. Wilczyńskiej poszły i inne domy. Pensyonarki p. Herwigowej chodziły do prywatnych szkół żeńskich, których było na początku tego wieku dwie w Poznaniu. Jedną z nich założył w roku 1810 Francuz de Trimail i prowadził mniej więcej przez lat dwadzieścia, drugą była szkoła Kaulfussa. Kiedy po roku 1830 miasto założyło szkołę Ludwiki, zamienioną później w rządową, pensyonarki p. Herwigowej uczęszczały do tejże szkoły. Aż do roku 1871 pensyonat ten mieścił się w niewielkim domu przy Wodnej ulicy i zamienił się w szkołę dopiero w końcu r. 1848. Uczyli w niej wówczas profesorowie gimnazyalni Jan

Motty, Ks. Prusinowski, zmarły bardzo młodo Kazimierz Köhler, Zaborowski, Buchowski i inni. Po śmierci prof. Poplińskiego w Lesznie, sprowadziła się wdowa po nim, a córka p. Herwigowej, Katarzyna Poplińska, do matki i pomagała jej w zarządzie pensjonatu i szkoły. Po śmierci zaś matki sama dalej prowadziła zakład aż do r. 1871. Zrazu władza szkolna nie troszczyła się o szkołę, po śmierci jednakże p. Herwigowej wymagała fachowego dyrektora. Wtedy z polecenia władzy objął dyrekcją żyjący na emeryturze Jan Motty, inspekcją zaś powierzono kanonikowi Brzezińskiemu. Zatwierdzenie rządowe oraz zezwolenie na przyjmowanie pańienek przychodnich zyskała szkoła 9 lutego 1856. Po śmierci Jana Mottego dyrekcja przeszła na syna jego Marcelego 21 stycznia r. 1857 — W roku 1882 wdzięczne uczennice złożyły, celem uczczenia 25-letniego jubileuszu jego dyrektorstwa, drogą składek znaczniejszy fundusz na stypendyum imienia Marcelego Mottego. Odsetkami jego rozporządza Towarzystwo Pomocy Naukowej dla dziewcząt w Poznaniu. W roku 1892 złożył Marcele Motty z pozwoleniem władzy dyrektorstwo w ręce p. Anny Danysz, która już od r. 1871 wraz z siostrą Anastazyą zarządzała połączonym ze szkołą pensjonatem.

W tej szkole uczył Marcele Motty przez 35 lat przeważnie języka francuskiego, a prowadził ją w duchu uczciwej, poważnej i świadomej celu nauki. Ztąd poszła jego wielka popularność wśród wielkopolskich pokoleń żeńskich. Dla domowego niejako użytku napisał historią literatury francuskiej, z której kilka pokoleń uczennic czerpało znajomość płodów literackich francuskiego ducha. Dzieło to nie drukowane, litograficznie odbijane, dostawały i dostają uczennice arkuszami. Dobroci tej książki dowodzi, że wyszła po za granice szkoły i Księstwa; znajduje ona nawet u Francuzów uznanie, jak nieraz mieliśmy sposobność o tem słyszeć. Podobno niektóre zakłady naukowe w Galicyi posługują się tem przez kontrabandę z Poznania przeniesionem dziełem Marcelego Mottego.

Nie trudno zrobić spostrzeżenie, że każdy człowiek ma w swoim życiu dobrą najwyższego rozwoju umysłowego,

niejako dobrą złotą swego żywota, w której, jak to pięknie wyrażali Grecy, jest najteższym ze siebie samego (*δεινότατος ἑαυτοῦ*). Ten czas przypada w życiu Marceliego Mottego na lata 1860—1870. Będąc wówczas w sile wieku, przy dobrym zdrowiu i żyjąc w uregulowanych stosunkach, posiadał największą swobodę umysłową i najbystrzejszy dowcip. Stan ten umysłowy objawił się na zewnątrz we feljetonach, które umieszczał stale co sobotę w „Dzienniku Poznańskim“ od lipca roku 1865 do kwietnia roku 1867. Napisał ich ze wszystkiem 54. Twierdzimy śmiało, że owe pogadanki tygodniowe o sprawach poznańskich stanowią epokę w dziejach dziennikarstwa poznańskiego. Pisane były bezimiennie we formie Listów Wojtusia do bawiącego na dobrowolnem wychodztwie Pafnusia, a datowane z Zawad. Stały się one oryginałem dla wielu późniejszych kopii, ale, przyznać trzeba, oryginałem niedoścignionym. Nie przypominamy sobie, żeby kiedykolwiek jakieś artykuły na gruncie poznańskim budziły taki interes, jak listy Wojtusia, a zapał, z jakim je czytano, chyba porównać można z interesem, który przed 15 mniej-więcej laty wzbudzała pierwsza historyczna powieść Sienkiewiczowskiej Trylogii. Z upragnieniem oczekiwano sobotniego numeru „Dziennika“, a każdy biorący w sobotę do ręki „Dziennik“, z pominięciem telegramów, zaczynał jego lekturę od listu Wojtusia.

Zostawiając politykę w „Dzienniku“ a r y s t o k r a - tom z pierwszego piętra, rozwinął Marceli Motty na dolnem piętrze gazety, w odcinku, wykwinną *causerie de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Omalował w swych feljetonach w sposób oryginalny i lekki sprawy bieżące, które mogły zajmować inteligentną część społeczeństwa poznańskiego. Przeważną część zajmują sprawozdania z koncertów, balów, przedstawień, wystaw, publikacji artystycznych i literackich; wszystkie te ekspektoracye są ożywione sympatycznymi wycieczkami na prawo i lewo, wciągającemi znane w mieście osobistości. Uwagi nad nowemi książkami są ujęte nie we formę doktrynerską, ale pogadankową. Nastrój jest satyryczny, n. p. kiedy jest mowa o Władysiu, który książki kupuje, ale nie rozrzyna, albo o pa-

niach wielkopolskich, sprzedających wsie Niemcom i zawożących z grzeczności otrzymane pieniądze do kraju, z którego wyszły — ale gorzka nieraz prawda osłodzona jest powabem lekkiej formy. Autor, chwyciwszy się tak późno feljetonu, rozwinął od razu tkwiący w sobie talent do tego rodzaju lekkiej literatury. Podczas bowiem gdy u innych feljetonistów artykuły z czasem słabną i dowcip się wyczerpuje, listy Wojtusia co do wartości idą stale w górę. Dla wykwintności formy interesują one jeszcze dzisiaj po trzydziestu kilku latach, chociaż sprawy w nich omawiane przestały być dla nas aktualnymi. Dowcip autora zdaje się niewyczerpany, każdy list wprowadza nowe motywy, choć ogólny ton zostaje ten sam. Co zaś największą jest zaletą listów Wojtusia, to jest, że dowcip w nich zawarty jest zupełnie naturalny, płynący bez nateżenia, nie mający w sobie nic sztucznego i naciąganego. Czytelnik czuje, że autor nie chciał być dowcipnym, ale że posiada wrodzony dowcip, którym wedle potrzeby rozporządza. List Wojtusia, opisujący sen panny Mimi, mdlejącej na widok nożyc, któremi Magnuszewicz zabiera się do obcięcia jej przydługiego ogona przy sukni balowej przed wejściem na salę bazarową, zostanie zawsze perłą humoru polskiego.

Na ten czas przypada także przekład komedii Arystofanesa. Przy dość ogólnym wstępie Polaków do uczenia się języka greckiego, Arystofanes jest autorem w Polsce mało znanym. Komedyje jego, zabarwione kolorytem ludowym, ulicznym, brukowym, wymagają głębszej znajomości języka greckiego, jaką nawet nie każdy filolog rozporządza. Dla tego tłumaczenie Arystofanesa jest więcej pożądane, aniżeli każdego innego starożytnego autora. Trudność przekładu Arystofanesa na język polski jest większą, niż przy przekładzie tegoż autora na inne języki, ponieważ język nasz nie znosi składanych wyrazów, bez których przekład Arystofanesa prawie obejść się nie może. Marcei Motty odważył się na przekład wszystkich jedenastu komedii. Na początek wydrukował w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na rok 1866 *Chmury*, a gdy te przez krytykę z uznaniem zostały przyjęte, zachęcony powo-

dzeniem, dokonał przekładu reszty dziesięciu komedyi. Rękopis dostał się do rąk prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, hr. Cieszkowskiego. Cieszkowski miał pewne wątpliwości, czy publikowanie tego przekładu bez zmiany tekstu lub wypuszczenia niektórych miejsc jest możliwe. Komedye bowiem Arystofanesa, jak wiadomo, nie ze wszystkim zgadzają się z naszymi pojęciami o przyzwoitości i moralności. Co prawda, wątpliwości te nie były poważnej natury, boć przecież moralność narodu niemieckiego nie ucierpiała bynajmniej przez publikowanie przekładu Donnera albo Droysena. Na zmiany i przeróbki Marceli Motty także żadną miarą nie mógł się zgodzić, bo Arystofanes oczyszczony przestaje być Arystofanesem. Pertraktacye o wydanie polskiego Arystofanesa ciągnęły się przez lat kilka, aż się wreszcie pokazało, że rękopis zaginął. Strata, która przez to dla literatury naszej powstała, jest bardzo znaczna, bo przy coraz więcej zamierającym interesie dla literatury starożytniej, zapewne nie tak prędko doczekamy się przekładu całego Arystofanesa. Przekład pojedynczych komedyi, jak np. Szujskiego, albo wybranych scen, jak np. Konarskiego, nie zastąpi nam téj straty.

Kiedy przed czterema laty dawano w teatrze krakowskim francuską przeróbkę Arystofanesowej *Lyzistraty*, zastosowaną przez Koźmiana do stosunków galicyjskich, z prologiem jednego z profesorów filologii uniwersytetu Jagiellońskiego, Marceli Motty zasiadł do powtórnego przekładu z oryginału *Lyzistraty*. Przekład ten jest dotąd w rękopisie. Piszący zdał z niego sprawę na posiedzeniu Towarzystwa filologicznego we Lwowie i odczytał niektóre ustępy. Jest on stosunkowo daleko słabszy, aniżeli wydany przed trzydziestu laty przekład Chmur. Siedemdziesięciopięcioletniemu tłumaczowi zabrakło przy *Lyzistracie* téj werwy i siły, jaką okazał przy *Chmurach*.

Wśród pracy zawodowej i zajęć literackich minął wiek siły męskiej, a rozpoczęła się epoka starości. Czując, że nie może sprostać wielorakim obowiązkom, postanowił Marceli Motty wycofać się z zatrudnień swego urzędu. W r. 1887 złożył stanowisko profesora w realnem

gimnazjum, lecz, przyzwyczajony do ciągłej pracy, nie zmienił zresztą trybu życia, a zwłaszcza nie rozłączył się ze szkołą p. Danysz, której historią wypełniał swoim życiem. Uczennice, odwdzięczając mu się niejako za tę wielką ofiarę fizyczną, którą dla nich ponosił, zdwoiły swoje przywiązanie do niego i szacunek. Lecz słabe ciało nie zawsze chciało postępować za wolą chętnego ducha. Zdarzało się, że w upalne dni sędziwy profesor zasypiał w czasie lekcyi. Mijały minuty, klasa jak w kościele obok świętości religijnej uroczyste zachowywała milczenie, aby, gdy się kochany mistrz przebudzi, nie poznał nawet, że przypadł nań sen. Uważaliśmy za stosowne nie pominąć tego charakterystycznego szczegółu, bo jest on miarą czci, jakiej w szkole zażywał Marceli Motty.

Zwyczajnym objawem sędziwego wieku jest, że dawne wyobrażenia, pozyskane w młodości, cisną się gwałtem pod światło świadomości umysłowej, przyciemniając interes dla terażniejszości i najbliższego otoczenia. Temu prawu uległ także Marceli Motty. Najdrobniejsze szczegóły z młodości stały się dla niego drogiemi, myśl jego z przyjemnością się niemi zajmowała i z przyjemnością koło nich krążyła. Ponieważ wiele w swoim życiu widział, dla tego wiele miał do rozpamiętywania i wiele do opowiadania. Tęj psychicznej niejako konieczności zawdzięczamy powstanie feljetonów w „Dzienniku Poznańskim“, zatytułowanych *Przechadzki po mieście*. Pisał je przez pięć lat od roku 1888—1892. Idąc ulicami miasta, opowiada, jak miasto wyglądało dawniej, a przede wszystkim, kto mieszkał w pojedynczych domach. Ponieważ przy tej sposobności robi także wycieczki po za miasto Poznań, przeto przed duchowemi oczyma czytelnika przesuwają się jak w kalejdoskopie najwybitniejsze postaci, które wydało Księstwo w pierwszej połowie tego wieku. Nie pisząc historyi, lecz osobiste wspomnienia, uwzględnia także typowe osobistości brukowe o efemerycznym znaczeniu.

Kto nie zna stosunków poznańskich, ten zdziwić się musi, z kąd jeden człowiek mógł mieć tyle wspomnień, z kąd mógł znać tak dokładnie tylu ludzi. Ale

ta bliska znajomość ludzi jest właśnie znamieniem charakterystycznym społeczeństwa poznańskiego. Nieraz zdarza się słyszeć w Galicyi: „Wy się w Księstwie wszyscy znacie“. Przyczyny zaś tego zjawiska nie tyle trzeba szukać w mniejszej liczbie mieszkańców, jak raczej w półwiekowym zdemokratyzowaniu społeczeństwa, które ma wiele punktów stycznych, skupiających ludzi, którzy się zresztą różnią urodzeniem, majątkiem i stopniem wykształcenia. To też nie trzeba się dziwić, że tak wiele osobistości weszło do „Przechadzek“.

Ponieważ czas chyżym krokiem posuwa się naprzód i z każdą, wzrastającą generacją ginie znaczna część wspomnień przeszłości, bezpretensjonalne „Przechadzki“ będą z czasem miały wartość historyczną. Są one pod niejednym względem uzupełnieniem cennej pracy Kazimierza Jarochońskiego „O literaturze poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia“. Ich miejsce będzie kiedyś w archiwach.

Dla badacza naszej indywidualności narodowej i wszystkiego, co z nią jest w związku, Marcelego Mottego dostarczył mimo woli w Przechadzkach bardzo obfitego materiału. Jakby na przekór studjom Ribota nad dziedzicznością, nekrologi Marcelego Mottego wykazują, że rzadko siła woli, rzadko pozyskana przez naukę inteligencja, rzadko zdrowie i porządek umysłu przechodzą u nas z pokolenia na pokolenie. Pod wpływem nadzwyczajnych wypadków wzrasta siła moralna jednostek, które jej nie przekazują swym potomkom. Przechadzki stają się statystyką ciężyny umysłowej i moralności publicznej. Prawda zawarta w ludowej piosnce wielkopolskiej o wielkim ojcu, który skakał do belki i o małym jego synu, który tego nie umie, w Przechadzkach niemal na każdej stronie znajduje potwierdzenie. Dla tego Przechadzki mimowoli nastrojone są na elegijną nutę, a umysł czytelnika niepokoje się, patrząc w przyszłość i powtarzając sobie: niema tych, co przed nami byli, a któż ich zastąpi? Może ta refleksja była przyczyną, że autor, doprowadziwszy Przechadzki do piątego tomu, wypuścił pióro z ręki i przestał pisać.

Do dolegliwości wieku Marcelego Mottego przyłączyły się także cierpienia moralne. W spokojny dom jego zaczęły uderzać żałobne gromy smutku. Kochające serce ojcowskie musiało przecierpieć stratę trzech dorosłych córek zmarłych w kwiecie wieku. W roku 1893 umarła mu żona, a w dwa lata potem syn Władysław, znany ze swych prac w zakresie beletrystyki i sztuki współpracownik „Dziennika Poznańskiego.”

Przeciw uczuciu osamotnienia ratował się pracą. Jakoż w roku 1896 wydał tłumaczenie wszystkich dzieł Horacego. Bezpośrednio potem zabrał się do tłumaczenia Metamorfoz Owidyusa, które doprowadził do początku jedenastej księgi. W listopadzie roku 1896 przestał udzielać lekcyi w szkole p. Danysz.

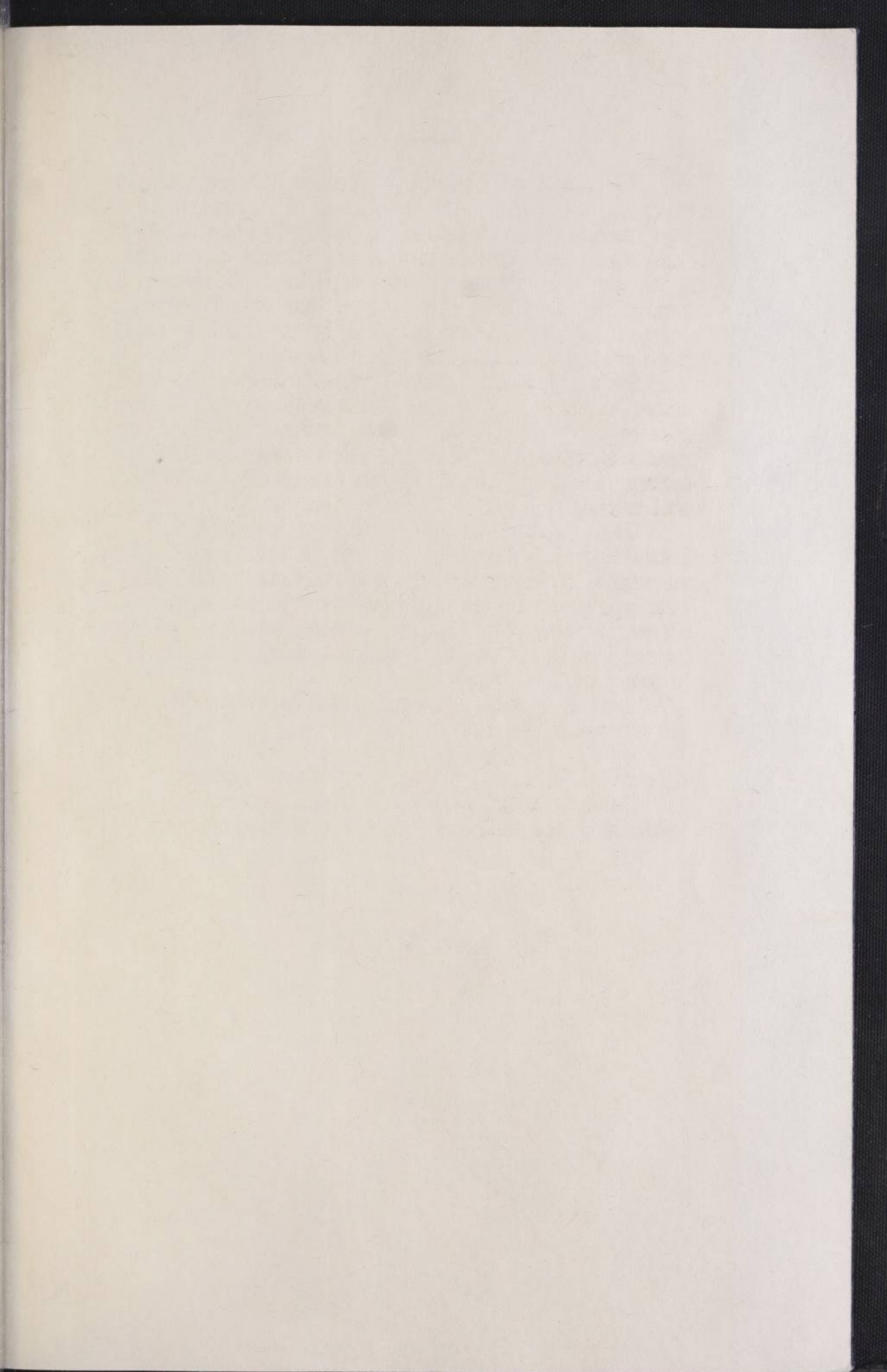
Dużo jeszcze możnaby pisać o czynach dobroci i szlachetności Marcelego Mottego, o tem, jak dom jego za współdziałaniem zacnej jego małżonki przez długie lata był posterunkiem miłosierdzia w Poznaniu, jak duchowo i materyalnie krzepił niedolę ludzką — zbyt to rzeczy jednak świeże w rocznikach dziejów miasta, aby je przypominać trzeba.

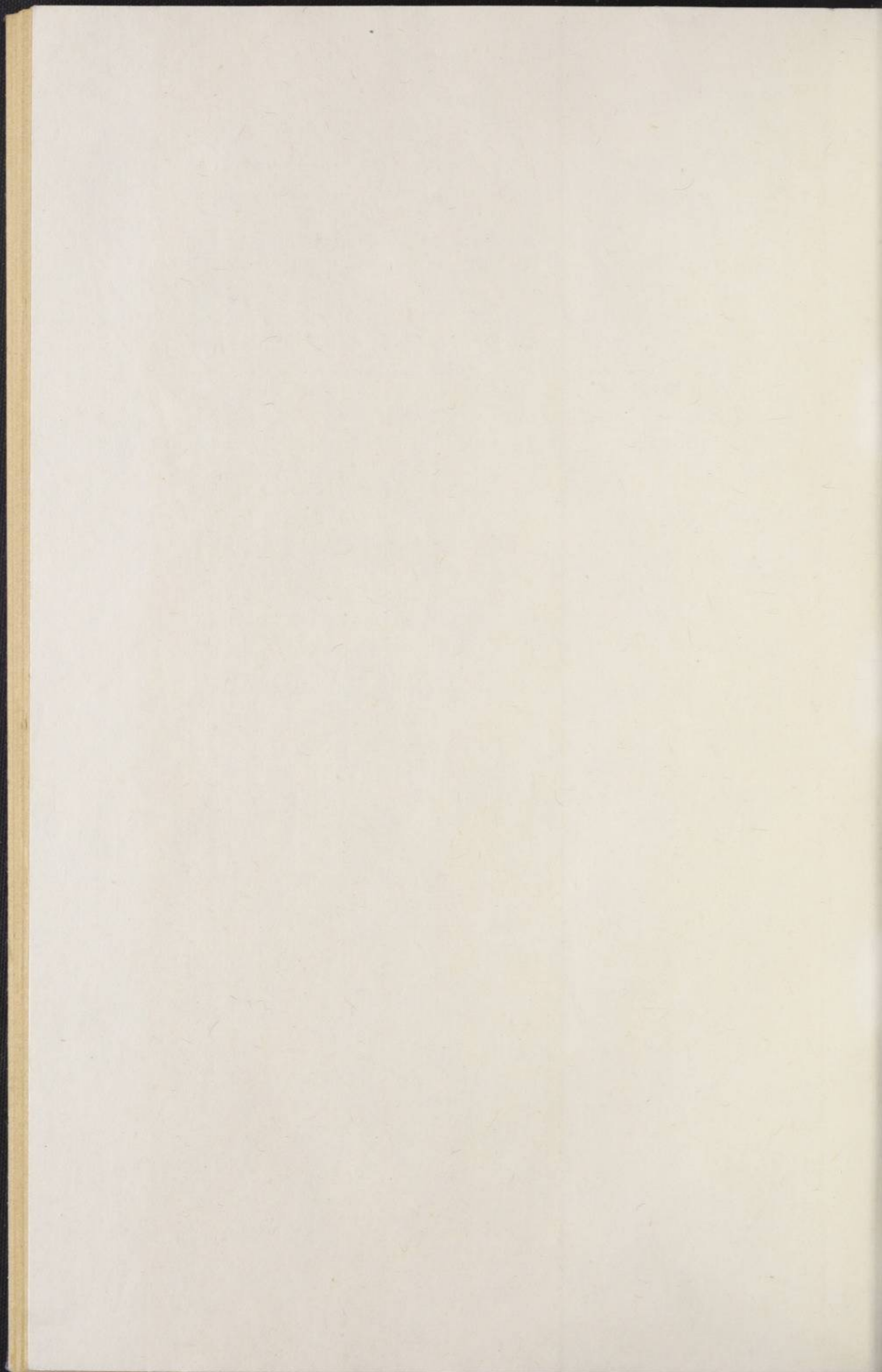
Śmierć, której od dawna sobie życzył, zabrała go 17 stycznia 1898 roku.

Vita optanda est, ut aliquid vita dignum efficiamus, powiedział Seneka.

Osiemdziesiąt lat życia, spędzonego na pożytek społeczeństwa, daje mu prawo do wdzięcznej pamięci!











187608

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009999235